Cena 60 gr

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII Warszawa, 18 listopada 1951 r. Nr 46 (312)

Konstanty ŁUBIEŃSKI

WSPÓŁPRACA — ROZWÓJ — POKÓJ

I.

NIE MA chyba człowieka, któryby nie odczuwał grozy wojny w szczególności przyszłej, w której możliwość zastosowania środków techniki stwarza dla całego świata niebezpieczeństwo katastrofy nieznanej w historii ludzkości. Mimo tego jednak nasuwa się pytanie czy świadomość grozy wojny jest wystarczająca, aby podjąć i prowadzić walkę o pokój w sposób, któryby zapewniał jej pełny sukces. Nie ma co bowiem łudzić się, aby osiągnięcie pokoju było zadaniem łatwym. Innymi słowy zachodzi pytanie czy uczucie lęku przed zniszczeniem życia ludzkiego, dóbr materialnych, bogactw przyrody i t.d. działa dostatecznie mobilizująco, czy uaktywnia ludzi pragnących pokoju w stopniu postulowanym przez istniejącą sytuację?

Jak wiadomo cechą charakterystyczną natury ludzkiej jest dążność do rozwoju. Cecha ta stanowi signum specificum istoty ludzkiej. To też im bardziej natura człowieka jest ludzka, jeśli można tak wyrazić się, tym ta dążność, ten sui generis instynkt jest silniejszy, a często-kroć tak silny, że góruje nawet nad instynktem samozachowawczym. Człowiek, który nie widzi przed sobą perspektywy rozwoju staje się biernym, obojętnym na wszystko co wokół niego dzieje się, popada łatwo w stan rezygnacji, albo też przeciwnie zrywa się do walki ze wszystkim co w jego mniemaniu uniemożliwia mu rozwój. W jednym i drugim wypadku nawet takie wartości jak życie schodzą na drugi plan.

Powyższe rozumowanie można odnieść zarówno do jednostki jak i o społeczności w szczególności narodowej. Społeczność narodowa może w jeszcze większym stopniu aniżeli jednostka odczuwa i kieruje się tym co nazwaliśmy instynktem rozwoju. Dążność do zdobycia czy utrzymania niepodległości to nic innego jak wyraz właśnie tego instynktu.

Dość powszechne jest przekonanie, że system społeczno-gospodarczy posiada zasadnicze znaczenie dla rozwoju jednostek i narodów. Istnieją zasadnicze różnice wynikające z odmienności światopoglądowych co do stopnia znaczenia tego czynnika. Zwolennicy światopoglądu materialistycznego przypisują mu znaczenie wyłącznie decydujące. Zwolennicy światopoglądu spirytualistycznego ograniczają je mniej lub więcej na rzecz innych czynników. Jedni i drudzy jednak są skłonni poświęcić nawet takie wartości jak życie ludzkie na rzecz zastosowania czy utrzymania systemu, który uważają za najlepszy.

W krajach kapitalistycznych, pomimo stałego i coraz silniejszego rozwoju ruchów postępowych mniej lub więcej zbliżonych do socjalizmu, istnieje jeszcze dość duża ilość zwolenników kapitalizmu, względnie co może bardziej odpowiada rzeczywistości istnieją ludzie, którzy odczuwają pewien lęk przed socjalizmem i mimo świadomości wad ustroju kapitalistycznego chcą ustrój ten utrzymać, w każdym razie w jego podstawowych założeniach.

Ten stan rzeczy wykorzystuje propaganda wojenna prowadzona przez tych, bardzo nielicznych lecz niestety dysponujących olbrzymimi środkami materialnymi, którzy dążą do utrzymania ustroju kapitalistycznego w jego obecnym stadium rozwojowym i do zniszczenia wszelkiego rodzaju ruchów postępowych. Propaganda wojenna głosi tezę o niemożliwości równoczesnego istnienia w jednych krajach systemu socjalistycznego, w innych kapitalistycznego i o niemożliwości współpracy krajów o różnych systemach. Jeśli za tym niemożliwe jest współżycie krajów o różnych systemach, trzeba jeden z nich usunąć. Kto więc chce kapitalizmu, względnie nie chce socjalizmu musi wybrać walkę z krajami socjalistycznymi, walkę która w pierwszym stadium polega na izolacji krajów socjalistycznych, w następnym na wojnie. Oto rozumowanie, które wtłacza propaganda wojenna w społeczeństwa krajów kapitalistycznych.

Nie można zaprzeczyć, że propaganda ta odnosi pewne sukcesy. Przede wszystkim dla tego, że wielu ludzi znękanych trudem codziennej pracy, chętnie przyjmuje gotowe diagnozy i recepty. Ludzie lękający się przemian społeczno-gospodarczych, ludzie pragnący zachować system kapitalistyczny, postawieni wobec sztucznej alternatywy socjalizm albo wojna, wybierają wojnę. Stają się wykonawcami, często bardzo żarliwymi polityki wojennej, pomimo tego, że większość ich na pewno zdaje sobie sprawę jak wielkie niebezpieczeństwo ona stwarza dla nich i całej ludzkości. Czynią to dla tego, iż sądzą że w ten sposób bronią warunków, które umożliwiają rozwój indywidualny i narodowy.

W tym stanie rzeczy staje się jasnym, że walka z poglądem o niemożliwości równoczesnego istnienia w jednych krajach systemu socjalistycznego, w innych kapitalistycznego jest niezwykle ważnym elementem walki o pokój, ponieważ uderza w podstawową tezę propagandy wojennej. Walkę tę należy toczyć przede wszystkim przez przekonywanie o możliwości i konieczności współpracy krajów o różnych systemach, konieczności dyktowanej naturalnymi tendencjami rozwojowymi wszystkich krajów i ludzi. Na tym tle wojna staje się nie tylko przerażającym widmem lecz również kompletnym absurdem.

II.

TEZA o niemożliwości współpracy między krajami o różnych systemach gospodarczych nie jest nowa. Teza ta zjawiła się w momencie powstania pierwszego państwa socjalistycznego. Przez 23 lata zrobiono wiele, w szczególności dzięki propagandzie faszystowsko-hitlerowskiej, aby tezę tę rozpowszechnić. Cóż można jej przeciwstawić? Przede wszystkim fakty.

W okresie międzywojennym stosunki gospodarcze pomiędzy Związkiem Radzieckim a krajami socjalistycznymi od roku 1930 rozwijały się pomyślnie. Zahamowanie tego rozwoju zostało spowodowane nie trudnościami natury gospodarczej, wynikającymi z różnic systemów ekonomicznych, lecz akcją polityczną wymierzoną przeciwko Krajowi Rad. Oczywiście nie trudno wskazać jak ujemne konsekwencje dla całej gospodarki światowej wywołało ograniczenie stosunków gospodarczych z krajem o ludności wynoszącej prawie 200 milionów ludzi, o olbrzymich bogactwach naturalnych i przedstawiającym, dzięki niezwykle dynamicznej polityce gospodarczej wprost nieograniczony pod względem pojemności rynek zbytu.

W okresie wojny współpraca gospodarcza objęła wszystkie sfery życia gospodarczego. Wprawdzie mógłby ktoś przypisać to szczególnym warunkom wojennym, jednakże trudno zrozumieć dlaczegoby przedmiotem obrotów zamiast czołgów i armat nie mogły być traktory i tekstylia.

Okres bezpośrednio powojenny również świadczy o możliwościach współpracy gospodarczej, w okresie tym bowiem stosunki gospodarcze pomiędzy — z jednej strony krajami kapitalistycznymi — a z drugiej strony Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej zaczęły rozwijać się bardzo pomyślnie przynosząc obustronne korzyści.

Znaczenie tych doświadczeń na odcinku współpracy gospodarczej krajów o różnych systemach społeczno-gospodarczych jest tym większe, że nie można znaleźć żadnych teoretycznych argumentów, któreby uzasadniały tezę o niemożliwości współpracy. Np. często spotykany argument jakoby niemożliwe były stosunki gospodarcze między kupcem prywatnym a potężnym państwem socjalistycznym nie ma, w każdym razie już dziś, żadnych podstaw, ponieważ w krajach kapitalistycznych na odcinku stosunków gospodarczych z zagranicą przedsiębiorcy prywatni korzystają albo z daleko posuniętej opieki ze strony państwa, albo wprost z jego pośrednictwa. Poza tym uczestnicy handlu zagranicznego w krajach kapitalistycznych, to przede wszystkim wielkie monopole, posiadające dostateczną siłę polityczną i gospodarczą, aby nie ulegać przewadze socjalistycznego partnera. Mogą wprawdzie zajść pewne trudności natury technicznej wynikające z różnic systemów, jednak współczesna technika obrotów zagranicznych rozporządza takim bogactwem form, iż z łatwością da się rozwiązać narzucające się problemy.

Lecz nie tylko istnieje możliwość współpracy krajów o różnych systemach, zachodzi również bezwzględna konieczność współpracy pomiędzy krajami o różnych systemach gospodarczych.

Świat współczesny dzięki olbrzymiemu postępowi techniki umożliwiającemu komunikację, wykorzystywanie wszystkich bogactw i sił przyrody oraz podział pracy stanowi nierozerwalną całość. Wyłączenie z tej całości krajów socjalistycznych, co głosi propaganda wojenna, które pod względem tak zaludnienia jak i terytorium stanowią $^1/_3$ świata, które posiadają olbrzymie bogactwa naturalne i stanowią wprost nieograniczony rynek zbytu, jest czymś co jest sprzeczne samo przez się z zdrowym rozsądkiem. Natomiast przyjmując podział świata na kraje kapitalistyczne, socjalistyczne oraz kraje gospodarczo nierozwinięte (kolonialne i zależne) to łatwo przekonamy się jak ściśle są ze sobą powiązane interesy tych trzech grup, jak bezwzględna konieczność jest ich wzajemna współpraca gospodarcza.

Kraje kapitalistyczne, a w szczególności takie, jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Belgia, Niemcy Zachod nie posiadają olbrzymi przemysł, którego zdolność produkcyjna znacznie przekracza pojemność rynku krajowego. Równocześnie kraje te nie posiadają dostatecznych własnych źródeł surowcowych. Stosunki gospodarcze tych krajów z koloniami i krajami dotąd od nich zależnymi natrafiają na coraz większe trudności ze względu na szybko postępujący proces wyzwalania się ludów kolorowych spod niewoli gospodarczej i politycznej kapitalizmu. Lecz nawet gdyby ten proces, który jak wiadomo nie stwarza warunków przychylnych dla rozwoju stosunków gospodarczych nie miał miejsca, to ani kraje kolonialne i zależne nie byłyby w stanie przy obecnej zdolności produkcyjnej zaopatrzyć dostatecznie w surowce przemysł krajów kapitalistycznych, ani nie stanowiłyby dostatecznego rynku zbytu. Z drugiej strony kraje kapitalistyczne, jak wskazują doświadczenia ostatnich pięćdziesięciu lat nie umieją czy może nawet nie są w stanie wydobyć olbrzymich i gęsto zaludnionych krajów azjatyckich i afrykańskich ze stanu zacofania.

Na skutek tych przede wszystkim przyczyn kraje kapitalistyczne są skazane na pogrążenie się w kryzysach gospodarczych i to coraz częstszych i silniejszych w miarę tego, co stanowi tragiczny paradoks, jak w wyniku postępu technicznego wzrasta ich zdolność produkcyjna. Im większa bowiem zdolność produkcyjna, tym większe zapotrzebowanie na surowce, tym silniejsza potrzeba odpowiednio pojemnych rynków zbytu. Lecz jeśli jedno i drugie zapotrzebowanie nie jest zaspokajane, tym kryzysy stają się uciążliwsze.

W tym stanie rzeczy nic dziwnego, że powstają tak niedorzeczne koncepcje w owych krajach, jak tworzenie tak zwanej koniunktury wojennej, innymi słowy wykorzystywanie zdolności produkcyjnej i likwidowanie czy ograniczanie bezrobocia przez zbrojenia. Nie potrzeba chyba długo dowodzić, że tego rodzaju nakręcanie koniunktury musi w końcu skończyć się katastrofą gospodarczą, gdyż niepodobieństwem jest na dłuższą metę wycofać z obrotu gospodarczego olbrzymie masy wartościowych dóbr i przemienić je w nieproduktywny sprzęt wojenny. Nie mówiąc już o innych, jeszcze bardziej niebezpiecznych aspektach tego rodzaju polityki. Co do krótkotrwałości koniunktury wywoływanej zbrojeniami przykładem znamiennym są Stany Zjednoczone, gdzie po krótko trwającym jeden (rok) boomie zaczynają występować obecnie wszystkie klasyczne zjawiska kryzysu. Dlatego też jedynym wyjściem dla krajów kapitalistycznych z tego impasu jest rozwinięcie pełnych stosunków gospodarczych z krajami socjalistycznymi, tzn. ze Związkiem Radzieckim, Chinami, krajami demokracji ludowych i Demokratyczną Republiką Niemiecką. Te kraje na skutek niezmanego w dziejach tempa rozwoju gospodarczego stanowią przede wszystkim nieograniczony rynek zbytu, przy tym są to kraje, których rozwój jest już tak znaczny, że

(Dokończenie na str. 2)

Dokończenie artykułu K. Łubieńskiego, ze str. 1

mogą z łatwością eksportem towarów i usług wyrównywać zobowiązania z tytułu importu.

Warto również podkreślić, że pewne właściwości systemu socjalistycznego stwarzają szczególną atrakcyjność dla krajów kapitalistycznych utrzymywania stosunków gospodarczych z krajami socjalistycznymi. Dzięki bowiem systemowi planowania kraje socjalistyczne mogą zapewnić krajom kapitalistycznym stałe dostawy, co niewątpliwie stanowić będzie czynnik bardzo ważki w łagodzeniu wahań koniunktury w krajach kapitalistycznych.

Nie ma żadnych wątpliwości, że dla krajów socjalistycznych również współpraca z krajami kapitalistycznymi jest bardzo pożyteczna. Wprawdzie dzięki gospodarce planowej, dzięki szerokiej współpracy ekonomicznej pomiędzy krajami socjalistycznymi rozwój gospodarczy tych krajów jest nieprzerwany. Tym niemniej tempo rozwoju, a w szczególności jego koszta mogłyby być znacznie mniejsze, gdyby rozwinęła się współpraca gospodarcza na skalę światową.

Wreszcie problem krajów nierozwiniętych gospodarczo, a więc kolonialnych i krajów zależnych. Problem ten nie może być rozwiązany tylko przy pomocy wspólnej akcji krajów kapitalistycznych jak i socjalistycznych. Zresztą już dziś gdzie tylko zachodzą po temu warunki, życie samo skierowuje te kraje w obu kierunkach. Przykładem wiele mówiącym pod tym względem są Indie nawiązujące z krajami socjalistycznymi coraz szersze stosunki gospodarcze.

Tak więc w interesie wszystkich krajów leży współpraca gospodarcza a różnice w systemach gospodarczych nie mogą być żadną przeszkodą w rozwoju stosunków gospodarczych. Każdy za tym naród może utrzymując system, który mu odpowiada współpracować z innym narodem o innym systemie gospodarczym. Jeden tylko warunek zachodzi—wzajemna tolerancja, to znaczy, że żaden kraj nie będzie podejmował akcji w stosunku do drugiego kraju, zmierzającej do zmiany panującego tam systemu.

Dziś przede wszystkim kraje kapitalistyczne muszą to stanowisko uznać i zastosować, jeśli świat ma wstąpić na drogę pełnej współpracy gospodarczej. Ze strony bowiem krajów socjalistycznych tego rodzaju tendencje nie istnieją. Rozwój socjalizmu nie potrzebuje interwencji z zewnątrz, następuje on w wyniku spontanicznych procesów społecznych i gospodarczych. Można go hamować, można wpływać na jego formy rozwojowe, lecz nie można go zatrzymywać. Mało tego, jak pisze prof. Lange w „Defense de la Paix" No.1/51 — „ze strony Związku Radzieckiego podkreślono niejednokrotnie, że interwencja w wewnętrzne sprawy krajów kapitalistycznych nie tylko nie przyśpieszyłaby upadku kapitalizmu, lecz mogłaby przeciwnie przedłużyć jego panowanie".

Czy jednak nie zachodzi jakaś sprzeczność pomiędzy poglądem o możności współpracy a poglądem o stałym rozwoju socjalizmu? Sprzeczność ta nie zachodzi, gdyż, naszym zdaniem, siły rewolucyjne powstają i działają w ustrojach kapitalistycznych niezależnie od charakteru stosunków handlowych, łączących oba bloki. Działają one od wewnątrz, wykorzystując dla swojego zwycięstwa wewnętrzne sprzeczności świata kapitalistycznego. Zwolennicy systemu kapitalistycznego mogą twierdzić, że kapitalizm nie ustąpi miejsca socjalizmowi. My jesteśmy innego zdania, tym niemniej twierdzimy, że zwolennicy jednego i drugiego systemu muszą uznać stan faktyczny, polegający z jednej strony na podziale świata na kraje o różnych systemach, a z drugiej na konieczności współpracy tych krajów. Rozstrzygnięcie, który system zwycięży trzeba pozostawić ich pokojowej emulacji.

Należy w końcu podkreślić, że jak uczy nas historia ostatnich 40 lat, wojny jedynie przyspieszają rozwój socjalizmu. Po pierwszej wojnie światowej socjalizm opanował olbrzymie terytoria Rosji carskiej, po drugiej wojnie rozszerzył się na tereny Europy Wschodniej i na tereny Chin, przy równoczesnym silnym rozwoju, w szczególności po drugiej wojnie światowej ruchów socjalistycznych w krajach kapitalistycznych. Te fakty powinny poważnie ostudzić wojenne zapały tych, którzy w trzeciej wojnie światowej szukają drogi do zniszczenia socjalizmu czy przynajmniej do zatrzymania jego rozwoju.

III.

JAK widzimy nawet na podstawie tych bardzo ogólnych rozważań rozwiązanie problemu współpracy gospodarczej między krajami o różnych systemach społeczno-gospodarczych posiada decydujące znaczenie dla utrzymania i umocnienia pokoju, przy czym rozwiązanie tego problemu jest możliwe i dla wszystkich krajów konieczne. Nic też dziwnego, że Światowa Rada Pokoju w lutym br. rzuciła inicjatywę zwołania Światowej Konferencji Ekonomicznej, której celem byłoby przedyskutowanie dwu zagadnień — podniesienia stopy życiowej narodów i poprawy stosunków gospodarczych pomiędzy wszystkimi krajami, przy założeniu możliwości współpracy krajów o różnych systemach ekonomicznych. Są to dwa zagadnienia, jednak łączą się ze sobą jak najściślej, z jednej strony bowiem podniesienie stopy życiowej w całym świecie jest uzależnione od rozwoju stosunków gospodarczych pomiędzy wszystkimi krajami, a z drugiej, rozwój stosunków gospodarczych jest w obecnych warunkach możliwy tylko wówczas, jeśli będzie służył podniesieniu stopy życiowej we wszystkich krajach a w szczególności w tych, w których stopa życiowa jest szczególnie niska. Na konferencji tej ma dojść do spotkania ekonomistów, przemysłowców, kupców, techników, przedstawicieli związków zawodowych reprezentujących możliwie wszystkie kraje i różne systemy społeczno-gospodarcze. W wyniku dyskusji ludzi rozumiejących konieczność jak najszerszej międzynarodowej współpracy gospodarczej, jako podstawowego warunku utrzymania pokoju i przekonanych o możliwości współpracy krajów o różnych systemach, powinny wyłonić się konkretne propozycje pozwalające na rozwiązanie tych dwóch podstawowych zagadnień.

Zarówno propozycje jak i sam fakt spotkania się ludzi reprezentujących różne poglądy społeczno-gospodarcze lecz pełnych szczerej woli znalezienia rozwiązań pozytywnych, może w poważnym stopniu przyczynić się do rozładowania obecnego napięcia politycznego i stworzenia warunków dla umocnienia pokoju.

Inicjatywa ruchu pokoju niezwykle szeroka i śmiała spowodowała w całym świecie żywe zainteresowanie i została przeważnie przychylnie przyjęta przez środowiska o różnych poglądach ideowych i politycznych. Dzięki temu doszło w dniach 27—29 października br. w Kopenhadze do spotkania wybitnych przedstawicieli życia gospodarczego krajów socjalistycznych i kapitalistycznych. W wyniku przeprowadzonych rozmów zebrani postanowili utworzyć Komitet Inicjatywy, którego zadaniem będzie zrealizowanie idei sugerowanych przez Światową Radę Pokoju. Jak podaje pierwszy komunikat powyższego Komitetu Inicjatywy Konferencja odbędzie się w Moskwie w dniach 3—10 kwietnia 1952 przy współudziale 400—450 osób.

Szczególnie istotnym jest skład osób, które weszły do Komitetu Inicjatywy. W Komitecie tym znajdujemy między innymi prof. Ostrowitianow, dyrektora Ekonomicznego Instytutu w Moskwie, prof. Oskara Lange, przedstawicieli Chin Ludowych, prof. Joan Robinson wybitną Keyns'istkę, Sergio Steve, profesora ekonomii na uniwersytecie w Wenecji, Oskara Spinelli prezydenta Narodowego Zjednoczenia Spółdzielczego we Włoszech, Otto Roche e Silva wielkiego przemysłowca brazylijskiego, Guillermo del Pedregal, wielkiego przemysłowca chilijskiego i wreszcie przedstawicieli Indii, Pakistanu, Iranu i Japonii. Jak widać z powyższego wachlarz reprezentowanych poglądów jak i krajów jest bardzo szeroki. Fakt ten jest najlepszym dowodem realizmu inicjatywy rzuconej przez Światową Radę Pokoju, a równocześnie powszechnej woli znalezienia środków dla współpracy krajów o różnych systemach gospodarczych, a przez to stworzenia podstawowego warunku umocnienia pokoju.

Polska jako kraj wydobywający się przy pomocy olbrzymiego wysiłku całego narodu i socjalistycznego systemu gospodarczego ze stanu zacofania jest w sposób szczególny zainteresowana projektowaną konferencją. To też jest rzeczą ważną, aby w okresie poprzedzającym tą konferencję toczyła się możliwie najszersza dyskusja na tematy z tą konferencją związane co przyczynić się może do wkładu jaki Polska również na tym odcinku wniesie do dzieła budowania pokoju.

Konstanty Łubieński

NOTATNIK POLITYCZNY

Turcja w obozie agresji

RZĄD premiera Adnana Menderes'a wciągnął Turcję do agresywnego paktu atlantyckiego. Trzeba było dwóch lat usilnych zabiegów i wpraszań, by amerykański Departament Stanu, za pośrednictwem swego ambasadora George Wadsforth'a, udzielił Ankarze swego łaskawego zezwolenia.

Nastąpiło to, co prawda, dopiero po zupełnym prawie zniszczeniu tureckiego oddziału walczącego na Korei. Tak więc, dzisiaj, Turcy mają już pełne prawo do masowego umierania za amerykańskie interesy w przygotowywanej przez anglosaski imperializm, agresywnej wojnie.

Spadkobiercy dyktatora Ataturka prowadzili podczas ostatniej wojny, niedwuznacznie prohitlerowską politykę. Rozmowy von Papen — Sarakoglu toczyły się na temat ni mniej ni więcej jak tylko... przyszłej okupacji radzieckiego Azerbejdżanu przez wojsko tureckie. Zwycięstwo stalingradzkie położyło koniec tym fantastycznym rojeniom a Turcja natomiast, dzięki polityce swego rządu, znalazła się w całkowitej izolacji. Nie pomogło nawet spóźnione i symboliczne wypowiedzenie wojny Niemcom i Japonii wiosną 1945 roku.

Izolując się barierą policyjną od Związku Radzieckiego i Bułgarii, odcięci od świata Islamu i krajów arabskich reformami Kemala Ataturka, znienawidzeni przez uciskane przez nich mniejszości narodowe (Ormian i Greków), znaleźli się Turcy w zupełnym odosobnieniu.

Wewnątrz kraju, rząd prześladuje wszystko co wolne i postępowe. Tak samo partię komunistyczną, jak robotnicze związki zawodowe, pisarzy postępowych, intelektualistów, ba nawet historyków i poetów.

W roku 1945, prezydent Ismet Inonu polecił swemu przyjacielowi zorganizować opozycję. Tak powstała Partia Demokratyczna, która od zeszłorocznych wyborów ma większość w tureckim Parlamencie. W istocie nic się nie zmieniło. Po dawnemu tureccy chłopi cierpią głód, uprawiając na wysuszonej ziemi swe nędzne pola najprymitywniejszymi metodami. (Młocka odbywa się tu za pomocą wołów, które przegania się nieskończoną ilość razy po snopach). A chłopi stanowią ponad 80 proc. ludności Turcji. Przemysł, poza fabrykami dywanów i suszarniami tytoniu, jest nieistniejący. Na obszar dwa i pół raza większy od Polski ilość szos i dróg bitych wynosi zaledwie 8 tys. km. Połowa mieszkańców to analfabeci.

Za to wydatki na wojsko i zbrojenia pochłaniają ponad 40 proc. budżetu. Okres służby wojskowej trwa trzy lata, w praktyce zaś, znacznie dłużej.

Amerykańska Misja Wojskowa w Turcji liczy około 1.300 osób, nie licząc personelu miejscowego. Za utrzymanie tej misji, za broń, za instruktorów, za stare kontrtorpedowce i łodzie podwodne dostarczane przez USA Turcja musi płacić i to płacić słono. Toteż tegoroczny deficyt budżetowy wynosi już 234 miliony funtów tureckich.

„Ale żołnierz turecki jest tani — notuje z zadowoleniem prasa amerykańska („Time" z 15. X. br.) — Roczny jego koszt wraz z mieszkaniem, uzbrojeniem osobistym i wyżywieniem oraz umundurowaniem wynosi zaledwie 500 dolarów. Jako jedzenie wystarcza mu raz dziennie talerz prażonej kukurydzy albo pilafu. Żołdu miesięcznego bierze taki szeregowiec tylko 12 centów..."

Interes jest zawsze intresem. Za tanie pieniądze rząd Stanów Zjednoczonych chciałby mieć dużo najemnych żołnierzy i wygodną bazę wypadową przeciwko ZSRR. Tylko, jak zawsze, tak i w tym wypadku imperialiści popełniają gruby błąd. Bo wydaje się im, że czołobitne ukłony panów Fuada Kuprulego, ministra spraw zagranicznych i Adnana Menderesa, szefa rządu, którzy z lekkim sercem zaprzedają swój kraj w niewolę dolara, oznaczają już całkowitą suwerenność USA nad Turcją, nad Bosforem i Cieśniną Dardanelską. A tymczasem, jest jeszcze naród turecki. Choć biedny, choć zacofany, choć trzymany w żelaznych karbach policyjnych rządów, naród ten, pod przewodnictwem straszliwie prześladowanej ale dobrze zorganizowanej klasy robotniczej (zwłasza robotników portowych), postępowej młodzieży i pisarzy, jak więziony od niedawna Nazim Hikmet, prędzej czy później uzyska pełnię demokratycznych swobód, przekreślając tym samym wszelkie atlantyckie programy wojenne.

Następny numer „Dziś i Jutro" będzie numerem specjalnym z okazji sześciolecia istnienia pisma.

REDAKCJA

Julianowi Rogozińskiemu w odpowiedzi

OMAWIAJĄC niedawno („Dziś i Jutro", nr 39/305) polskie wydania Flauberta lat powojennych, zgłosiłem kilka zastrzeżeń pod adresem przekładu „Trzech opowieści" pióra zasłużonego tłumacza, p. Juliana Rogozińskiego. Dziwię się trochę, czemu swoje uwagi na ten temat opublikował p. Rogoziński w dziale korespondencji i n n e g o czasopisma (por. „Nowa Kultura" nr 44/84) — daleki wszakże od chęci nadużywania „dobrej wiary czytelników", i ja uważam za swój obowiązek wyjaśnieniami na wyjaśnienia p. Rogozińskiemu odpowiedzieć.

Zniekształcenie myśli tłumacza, za co odpowiedzialny jest niżej podpisany, oraz — powstałe z winy zecera (podobnie jak na przykład dwukrotne przekręcenie w innym miejscu: „z Point-l'Evêque" zamiast — „w Pont-l'Evêque") — opuszczenie przytoczonej w maszynopisie stronicy, z której cytat był wzięty — obie te przyczyny stworzyły pozory przemawiające za świadomą z mej strony nieuczciwością cytowania. Trudne i prawie zawsze na niepowodzenie skazane są próby usprawiedliwienia własnej nieuwagi, zwłaszcza — nieuwagi przy cytowaniu. Niech mi więc będzie wolno zacząć od bardzo szczerego przeproszenia p. Rogozińskiego za moją gaffę przy okazji str. 75 wspomianego wydania „Trzech opowieści". Byłbym rad, gdyby p. Rogoziński zechciał mnie uwolnić chociaż od posądzenia, iż zamierzałem „dokuczyć tłumaczowi" — dlatego też opowiem tu skąd się wziął absurd, sugerowany przez mój przypisek. Otóż rękopis przepisywany był na nie polskiej maszynie, przy korekcie zaś przeoczono dopisanie koniecznego „ogonka". Tak więc, nieszczęsne to zdanie powinno było brzmieć: „Elle la combattit (ową „horrible pensée"..., a nie — jak wydrukowano: „...owa „horrible pensée"..." Mam nadzieję, że niniejsze sprostowanie, acz spóźnione, wynagrodzi w pewnym stopniu szkodę, spowodowaną tamtym niedopatrzeniem.

Pewną nieścisłością wydaje mi się twierdzenie p. Rogozińskiego, że moje „zarzuty dotyczą nie tyle wierności wobec tekstu, ile jego transpozycji na poprawną polszczyznę". W zakończeniu artykułu mówiłem wyraźnie o tłumaczeniach „już dobrych, ale jeszcze nie wiernych"; na poparcie tego zdania najlepiej może posłużyć przytaczany przeze mnie cytat ze str. 122 omawianego wydania „Trzech opowieści", którym p. Rogoziński wolał już nie „nudzić czytelnika". Wytworną zawsze polszczyznę p. Rogozińskiego raz tylko opatrzyłem znakiem zapytania, gdy wydało mi się zbyteczne odwoływanie się tłumacza do strony biernej.

Nie chcąc ryzykować nieporozumień, muszę cytować. „Pendant un demi-siècle — brzmi początek opowiadania „Un coeur simple" — les bourgeoises de Pont-l'Evêque envièrent à Mme Aubain sa servante Félicité." Pan Rogoziński to tłumaczy: „Felicyta, służąca pani Aubain, była pięćdziesiąt lat bez mała przedmiotem zazdrości wszystkich gospodyń w Pont-l'Evêque" — mnie zaś wyszydza, iż widocznie najchętniej zgodziłbym się na taką oto wersję: „Podczas jakiegoś pół wieku mieszczanki z Pont-l'Evêque zazdrościły p. Aubain jej służącej Felicyty." — Cóż robić, sięgam do przekładu Wacława Rogowicza i czytam: „Przez pół wieku obywatelki miasteczka Pont-l,Evêque zazdrościły pani Aubain jej służącej, Felicyty." „Flaubertysta z „Dziś i Jutro" nie jest więc znów tak bardzo odosobniony. *Solamen miseris socios habuisse malorum...*

I jeszcze jedno zestawienie. Chodzi o zakończenie „Legendy o świętym Julianie Szpitalniku" (lub też — jak przekłada Rogowicz — „...o św. Julianie Miłosiernym"). Pan Rogoziński ironicznie proponuje mi tłumaczenie dosłowne niewolniczo: „I oto historia świętego Juliana Szpitalnika, taka prawie, jaką się znajduje na pewnym witrażu kościoła w moich rodzinnych stronach." Porównuje z przekładami literackimi. U Wacława Rogowicza: „Oto historia świętego Juliana Miłosiernego, taka mniej więcej, jak ją widzimy na witrażu kościoła, w moich stronach." A u p. Rogozińskiego: „I oto skończona legenda o świętym Julianie Szpitalniku, opowiedziana prawie tak, jak ją widziałem na witrażu kościoła w moich stronach rodzinnych." — Ha, jeżeli z tych dwu wybrać przekład Rogowicza — znaczy: brnąć „w prymitywnym formalizmie", niechaj już będę formalistą.

Andrzej Narbiecki

E. BARAGLI

WOJNA, BANKRUCTWO LUDZKOŚCI

Artykuł E. Baragli, przedrukowany przez wiele pism katolickich włoskich, między innymi przez wyróżniający się w walce o pokój tygodnik „La Via" — stanowi bezwzględne oskarżenie militaryzmu w ogóle, a obecnego amerykańskiego programu zbrojeń w szczególności. Artykuł ma dla nas dość istotne luki. Widzi i podkreśla objawy zła, ale nie proponuje skutecznych środków zaradczych, piętnuje obłęd militaryzmu, ale bezpośrednio nie wskazuje na sprawców. Ponadto, rzecz dziwna, w tym wstrząsającym wykazie strat ostatniej wojny nie znalazła się pozycja tak charakterystyczna — jak straty narodu polskiego.

Mimo tych poważnych luk — wypowiedź E. Baragli pozostaje istotnym dokumentem, wskazującym jak dalece propaganda Światowego Ruchu Pokoju przepoiła dziś problematykę postępowych publicystów katolickich na Zachodzie Europy.

Redakcja

WŚRÓD wydarzeń dziejowych, które niezmiennie się powtarzają, przeważają wojny. Historia wydaje się jedną niekończącą się serią wojen. Można by powiedzieć monotonna seria, jeśliby dwa przygniatające smutkiem fakty nie zmieniały tej jednostajności. Pierwszy tkwi w stałym rozwoju środków zniszczenia i wielkości swego zła... drugi w tym, że przerwy między jednym konfliktem a drugim skracają się. Jeżeli dwie wojny między Francją i Niemcami dzieliło 56 lat (1814—1870) to już potrzeba było tylko 44 lat, które doprowadziły do klęski 1914 roku, 20 lat dojrzewała druga wojna światowa i nie minęło 10 lat od końca ostatniej, a żyjemy w atmosferze groźby trzeciej wojny światowej.

Przyczynia się to bardzo często do wydawania sądów o wojnie zbyt oddalonych od rzeczywistości. Ogólne ujęcie tego zagadnienia zmusza do spojrzenia nań z punktu widzenia historycznego, co może spowodować, że artykuł ten od strony rzeczywistości światowej wydawać się może cześciowy i epizodyczny. Ale jeżeli w takich warunkach znajduje się historia, to wyobraźmy sobie, w jakich warunkach znajduje się zwyczajny człowiek.

Dla niego często wojna ogranicza się do osobistych smutków: to brak zapasów, ucieczka do schronu na ryk syreny, winnica zniszczona przez czołgi, synowie zaginieni lub zabici, ukochani pogrzebani pod gruzami domów...

Naturalnie, osądowi moralnemu wojny towarzyszy ta częściowa wizja dotycząca osobistych cierpień pojedyńczego człowieka. Jest prawdą, że ludzie jeżeli są dobrzy i zrównoważeni powiedzą o wojnie, iż jest ona największym nieszczęściem ludzkości: ale jakby nie była surowa ta opinia, nie będzie ona sumą wszystkich cierpień, zniszczeń, spustoszeń, smutków, deportacji i śmierci tak od wojny nieodłącznych! Dowodzą tego minione lata, znane są bardziej dokładne dane tragicznego bilansu współczesnej wojny, zwyczajny człowiek początkowo ich nie może pojąć, sądząc, że rozmiary ich są przerażające, potem nie dowierza, nakoniec przerażony pyta się, jakie jeszcze ludzkość może znaleźć środki szybsze i pewniejsze do zniszczenia jej samej; czy może być coś bardziej szalonego od wojny.

ILE KOSZTOWAŁY WOJNY

PRZEJDZIEMY dla przykładu do przeglądu niektórych cyfr dotyczących pierwszej wojny światowej: 50 miesięcy (lipiec 1914 — listopad 1918) według oficjalnych danych kosztowało narody walczące astronomiczną sumę 1.195 miliardów złotych franków. Aby przekonać się jak wielką jest ta suma wydatków, należy porównać ją z długami tych samych państw, które w wigilię wojny nie przekraczały nawet 130 mil. franków w złocie.

Ale niemniej astronomiczne cyfry będą także przy wyliczaniu ofiar wojny. W Traktacie Wersalskim, w których same państwa Ententy — a możemy je posądzić o wszystko inne niż o życzliwość w stosunku do pokonanych Niemiec — musiały uznać, że dochody Niemiec nie wystarczą na wyrównanie wszystkich strat, dlatego w nocie rachunkowej ograniczono się do listy ofiar poniesionych przez ludność cywilną, pomijając koszty wojsk lądowych i morskich. Tymczasem już po pewnym złagodzeniu, Anglia podaje szkody na 2.543.000.000 funtów szterlingów, Francja na 214 miliardów fr. fr., Belgia 36,5 miliarda fr., Włochy 86.800.000.000 lirów.

Poza tymi danymi Ententa i Państwa Centralne mogłyby wykazać bilans dużo bardziej makabryczny: bilans strat w ludziach. Wystarczy powiedzić, że przy obliczeniach nie wzięto nawet pod uwagę normalnej śmiertelności z powodu rozmaitych epidemii, które panowały w tym czasie w całej prawie Europie. Pierwsza wojna światowa codziennie ścierała z powierzchni ziemi przyrost ludności dużego państwa: 20.000 ludzi; miesięcznie — liczbę ludności dużego miasta — 700.000 mieszkańców; w ciągu roku liczbę odpowiadającą zaludnieniu wielkich metropolii, takich jak Londyn i New York, powyżej 8 milionów osób; w okresie trochę dłuższym niż cztery lata straciło życie tylu ludzi, ile liczy Hiszpania z Portugalią razem, to jest 35 milionów przestało istnieć, z czego 10 milionów żołnierzy poległych w walce! Jednak cyfry te, tak tragiczne, bledną wobec bilansu nawet częściowego drugiej wojny światowej.

Zacznijmy od wydatków na wojnę. W Anglii dokładnie połowa całego preliminarza budżetowego na r. 1939 —1940 została przeznaczona na obronę narodową. W tym samym roku stosunek ten już absurdalny został przewyższony przez Francję, która na wydatki wojenne przeznaczyła 60 proc. swego bilansu. Jak było do przewidzenia te szalone przygotowania odpowiadały wielkim wydatkom innych narodów wciągniętych w konflikt; jeżeli się wie, że w 1944 rzeczywiste wydatki wojenne Anglii wynosiły 54% bilansu, Kanady 52%, Nowej Zelandii 49%, Stanów Zjednoczonych 46% Australii i ZSRR 44%. Ile kosztowała wojna jedne USA można osądzić chociażby z tych liczb: w latach 1941 — 1943 USA wyprodukowały więcej niż 1½ miliona samochodów wojskowych, w samym tylko 1944 r. — 100.000 samolotów na ogólną sumę 16 miliardów dolarów, odpowiadających 9.000 miliardom obecnych włoskich lirów; w ciągu 44 miesięcy liczba samolotów urosła do 274.674.

Odpowiednio do wzrostu wydatków w latach wojny wzrastała krzywa zniszczeń materialnych. Oficjalne zestawienia, dotyczące tylko Europy, podają sumę 131.500 milionów dolarów po podzieleniu stanowi to po jednym milionie na każdą rodzinę w Europie. Jeszcze bardziej przerażające w swych proporcjach są straty ZSRR — wynoszące 128 miliardów dolarów (ok. 90.000 miliardów lirów), suma ta podzielona na 193 miliony mieszkańców ZSRR odpowiada ok. ½ miliona dolarów strat na każdego mieszkańca.

ZNISZCZENIA

SPRÓBUJMY określić wielkość zniszczeń tylko za pomocą niektórych cyfr. Walczące kraje utraciły okrętów na 36.787 tys. ton nośności. To znaczy więcej niż połowę ogólnego tonażu z 1939 r. (69.970.000 ton). W Japonii istnieje około 40 miast powyżej 100.000 mieszkańców startych prawie w całości z powierzchni ziemi i jeszcze więcej miast zniszczonych w 30%.

W Niemczech zostały zniszczone: w 45% Monachium i Manheim-Ludwigshafen, w 50% Berlin, Hamburg, Düsseldorf, Duisburg, Monachium-Gladbach; w 55% Norymberga, Essen, Stuttgart, Hann, Friburg, Kilonia; W 60% Frankfurt nad Menem, Drezno, Hannower, Dorsmund, Münster, Darmstadt; w 65% Kolonia i Akwizgran; w 75% Kassel, Moguncja, Bochum, Emden, Soest: w 80% Paderborkn, Wurzburg, Hanau. Trzeba więc wziąć pod uwagę, że na każdego mieszkańca Berlina, Essen i Stuttgartu przypada 10 m³ ruin na głowę we Frankfurcie i Hamburgu 20 a w Norymberdze 30.

Rozgoryczenie wzrasta, gdy zastanowimy się, co uległo zniszczeniu. Jeżeli się pomyśli na przykład o Francji, w której zostało zniszczonych 4.000 budowli historycznych, stanowiących siódmą część wszystkich zabytków tego kraju, albo gdy wspomni się o 1.270.000 tomach książek spalonych tylko w dwu bibliotekach w Tours i Caen i o zniszczeniu książek i manuskryptów w tysiącach niemieckich bibliotek.

Wystarczą chociażby te cyfry: narodowa biblioteka w Hamburgu straciła 600.000 tomów, narodowa biblioteka w Monachium i regionalna w Darmstacie ogółem pół miliona, regionalna biblioteka w Stuttgarcie 580.000 tomów, uniwersytet w Munster 400.000 tomów i pół miliona prac dyssertacyjnych, uniwersytety w Karrlsruhe, Monachium, Kassel, Dreznie, Frankfurcie nad Menem, Kilonii, Wurzburgu, Lipsku, Bremie, Magdeburgu, Hannowerze i Norymberdze ogółem powyżej trzech milionów tomów i ponad 600.000 dyssertacji.

Ale z okresu drugiej wojny światowej jeszcze bardziej ponuro przedstawia się liczba zniszczonych istnień ludzkich. Zgony spowodowane jedynie działaniami wojennymi w Europie sięgają cyfr 13.450.000 z czego 9 milionów ludności cywilnej i ponad 4 miliony wojskowych; co czyni, mówiąc językiem ekonomistów, „krwawą cenę zysku" 4,70% przyrostu swej ludności.

Ta olbrzymia liczba została przekroczona przez ZSSR, którego „krwawy zysk" dochodzi do 8,91% liczby ludności w 1946, równając się 17 milionom zabitych: siedem milionów wojskowych i dziesięć ludności cywilnej. Do jakiegoż wyludnienia wśród narodów ziemi może przyczynić się wojna, jeżeli się doda do tego niemniej krwawe straty poniesione przez Amerykę i Japonię, Chiny, Indie i Afrykę? Jeżeli liczbę zabitych w walkach powiększą dziesiątki milionów zmarłych z konsekwencji wojny, głodu, nędzy i chorób? Jeżeli się doliczy na koniec dzieci, które powinny były się narodzić i nie narodziły się — u milionów rodzin, które wojna gwałtownie rozdzieliła lub którym przeszkodziła stworzyć się.

GDZIE i kiedy znajdzie swój kres to ludzkie szaleństwo? Jakie cyfry mogą dosięgnąć straty oczekiwanej przez niektórych trzeciej wojny światowej? Zastanówmy się trochę nad liczbami ogłoszonymi w dziennikach i przeglądach — świadectwo czasów — jakże „ciekawe"! Jeden ciężki karabin maszynowy kosztuje dziś trochę mniej niż dwa miliony lirów, skromna armata 105 mm sześć milionów, czołg około 140 milionów, rakiety kierowane radiem (uwaga: które używa się tylko jeden raz) około 200 milionów, nocny samolot myśliwski F 89 — ponad 800 milionów, bombowiec B 36 trzy i pół miliarda, odrzutowiec B 47 prawie cztery miliardy.

Trzeba zważyć jakie będą koszty bieżące, jeżeli w wojnie współczesnej będą użyte miliony karabinów maszynowych, setki tysięcy samolotów i czołgów, tysiące okrętów i łodzi podwodnych — wylicza się cyfry kilometrowe, które już figurują w bilansach wojennych. We Francji na przykład, mimo że cały bilans narodowy przewiduje deficyt 400 miliardów fr. fr. w r. 1951 wydatki przekroczyły o 500 miliardów budżet z 1950 r. W ciągu trzech lat powstał budżet dochodowy na 2.000 miliardów fr. fr. Prezydent USA zażądał na wydatki wojenne na r. 1951 —1952 nie mniej niż 40.000 miliardów lirów, co stanowi więcej niż 100 miliardów dziennie na mieszkańca USA łącznie z noworodkami!

Myśl zwraca się do akcji pozytywnych, które przy pomocy tych środków zmądrzała ludzkość mogłaby zrealizować: ile można by obecnie wiedzieć o walce z rakiem i paraliżem dziecięcym; może umiano by zlikwidować wszystkie niepokoje ekonomiczne, które popychają miliony młodych małżeństw do nie dawania życia lub niszczenia go w zarodku; może umiano by zanieść chrystianizm wszystkim niewierzącym? Jeżeliby, nie powiemy wszystkie, ale przynajmniej część tych wydatków została wpisana do budżetu, nie po to, by zabijać ale leczyć!

A jest przeciwnie, nowe wynalazki— wspaniałe odkrycia służą jakże często zabijaniu, i jeszcze częściej gwałtowi. Rozpoczynaliśmy pierwszą wojnę światową z karabinem, który za jednym strzałem zabijał jednego człowieka i z armatami o pojedynczym strzale, zakończyliśmy z gazami trującymi ludzi jak muchy, z karabinami koszącymi ich jak zboże, i z armatami niosącymi na 100 kilometrów! Zaczęliśmy potem drugą wojnę ze sztukasami i bombami jednotonowymi i zakończyliśmy ją z sześciotonowymi, z V2 i atomówką. Ile narzędzi przygotowują do jutrzejszej wojny szaleńcze wydatki, które czyni się dziś? W męczeńskiej Korei już funkcjonują „zadowalająco" bomby napalmowe; mówi się o nowej broni atomowej, zaznaczając, że typ użyty w Nagasaki i Hiroszimie był nieekonomiczny. Tak, ściślej biorąc mówi się o bombie do wyniszczenia naszych braci, tak jakby się mówiło o proszku przeciw insektom. Można przeczytać te słowa: „Broń atomowa jest najbardziej i najlepiej zyskowną z istniejących".

Tak więc wydaje się, że stanęliśmy na drodze do prawdziwej cywilizacji! Obliczenia przybliżone stwierdzają, że zabicie jednego człowieka w Hiroszimie i Nagasaki kosztowało około 10 mil. lirów.

Odwagi, odwagi, o cywilizowany człowieku, już wkrótce będzie kosztować tylko kilkaset lirów, jak pójście do kina, zabójstwo masy tych o których stara moralność powiedziała: „twoi bracia"!

(Civilita Catolica, z dn. 4.VIII.51 r.)

tłum. Z. B. K.

NOTKI KULTURALNE

Nagrody Biennale artystycznego Sao Paulo zostały przyznane w dziedzinie malarstwa artystom Roger Chastel, Eduard Pignon, Baumeister i Magnelii, w dziedzinie rzeźby rzeźbiarzom: Max Bill, Germaine Richier i Mirigozzi; w dziedzinie grafiki — otrzymał artysta grafik Viviani.

×

Nagroda czytelników (Lettres francaises) została przyznana pisarzowi Georges La Sidaner za powieść „A la volette".

×

Festiwal filmowy w Cannes rozpocznie się w roku 1952 wcześniej niż to było przewidziane tj. nie 4 maja, ale 23 kwietnia i trwać będzie do 10 maja.

×

We Francji w listopadzie rb. będzie po raz pierwszy przyznana nagroda za krótkometrażowy film turystyczny. Do jury wchodzą oprócz reżyserów także dziennikarze

×

W ZSRR weszły na ekran cztery serie popularno-naukowych filmów krótkometrażowych Są to filmy o wiedzy rolniczej, o wielkich uczonych radzieckich, o wiedzy i wszechświecie oraz podróże po Związku Radzieckim (ostatnia seria składa się ze 150 filmów krótko i średnio metrażowych).

×

W roku bieżącym Moskwa obchodzi 85-lecie działalności swego konserwatorium

×

Święte kolegium liczy obecnie, po śmierci J. E. Kardynała Sapiehy i J. E. Dougherty (arcybiskup Filadelfii) tylko 49 członków Od początku swego pontyfikatu Ojciec św. Papież Pius XII mianował 26 kardynałów, z których 7 już zmarło.

Liczba kardynałów Włochów spadła obecnie w Świętym Kolegium do 18. po nich najliczniejszą grupę stanowią Francuzi mający 5 kardynałów. Najstarszym kardynałem jest J. E. von Faulhaber, arcybiskup Monachium, otrzymał on kapelusz kardynalski w 1921 r.

×

W Indiach do wyborów po raz pierwszy zostaną dopuszczone kobiety, na razie żadna kandydatura kobieca do Parlamentu nie została zgłoszona.

Ze względu na przeszło 80% analfabetów w kampanii wyborczej użyto niepisanych afiszów, przemawiających tylko obrazami.

×

We frankistowskiej Hiszpanii ukazał się nowy podręcznik literatury światowej Alberta Risco. W podręczniku tym, „zapomniano" o wszystkich wielkich pisarzach francuskich XIX w. Czyż za Dantem (o czym już donosiliśmy) także Hugo, Stendhal Balzac i Flaubert dostali się na ten indeks?

×

W ormiańskiej SRR zakończono prace archeologiczne, które rzuciły światło na historię twierdzy Urartyjskiej z 7 wieku przed naszą erą. Odkrycia archeologiczne dały wiele cennego materiału, charakteryzującego kulturę starożytnego państwa Urartu, istniejącego przed 2.000 lat. Między innymi odkryto ruiny zamku urartyjskiego z 8 wieku przed naszą erą.

×

Czechosłowacki reżyser J. Macha pracuje obecnie nad filmem „Akcja B" wg scenariusza E. Fikera. Reżyserzy J. Kadar i E. Kłos pracują nad filmem „Porwanie" wg ich własnego scenariusza reżyser M. Fricz pracuje nad filmem kolorowym „Królewski piekarz" wg scenariusza J. Brdeczki, reżyser K. M. Wallo pracuje nad filmem „Fabryka obuwia" według powieści T. Świątopłuka, reżyser M. Cikan pracuje nad filmem „Twierdza", reżyser K. Stieklo pracuje nad filmem „Anna proletariuszka" opartym na powieści pod tym samym tytułem I. Olbrachta.

×

Powróciła do Moskwy ekspedycja naukowa która pod kierownictwem uczonego radzieckiego, profesora A. Arcichowskiego, prowadziła prace archeologiczne w starym grodzie rosyjskim — Nowogrodzie Ekspedycja odnalazła wiele pamiątek piśmiennictwa nowogrodzkiego, tak zwanych „gramot nowogrodzkich" pochodzących z 10 — 13 wieku. Są to zwoje kory brzozowej z wyrytymi na nich tekstami w języku cerkiewno-słowiańskim. Znalezione dokumenty rzucają nowe światło na historię państwa i społeczeństwa starej Rusi Nowogrodzkiej.

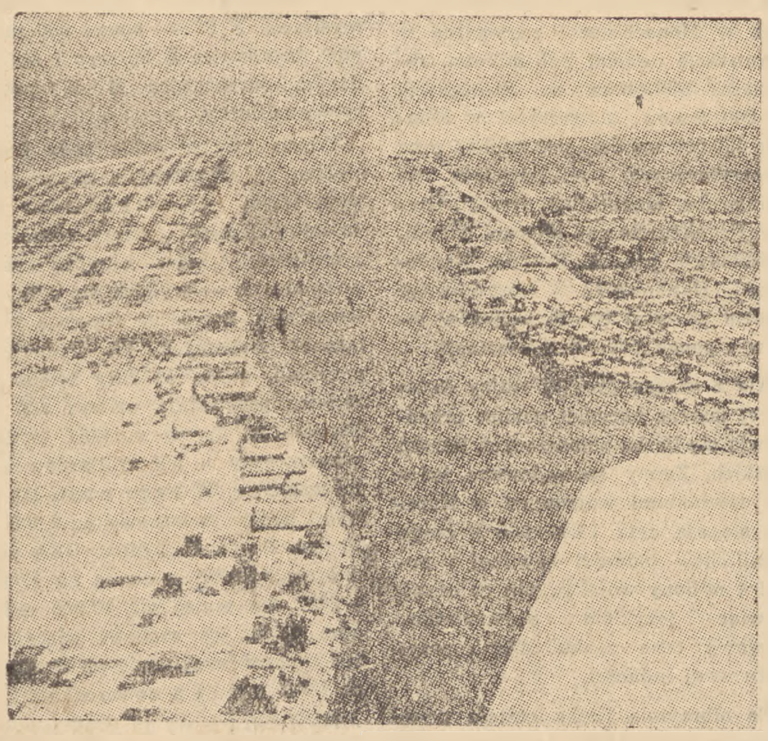
×

W Związku Radzieckim dokonano przeszło 4.000 operacji przywracających niewidomym wzrok. Operacje te są wykonywane według metody prof. Filatowa Władimira.

Karol SKURPIEWSKI

NIL I SUEZ

JAK w Persji niedawno, tak i w Egipcie mogło się wydawać przez czas długi, że namiętne manifestacje w parlamencie i na ulicach Kairu i Aleksandrii mają raczej teatralne znaczenie i wyreżyserowane są przez chytre władze dla uspokojenia czy uśpienia ksenofobii mas. Takie pomyłki, to stare dzieje. Ileż to bystrych obserwatorów Francji przed rewolucją patrząc na osobisty skład Stanów Generalnych, czy przedstawicielstwa trzeciego stanu, gdzie tyle było dawnych ludzi, przekonywało świat i siebie wzajemnie, że zapały, zaklęcia i radykalne hasła są tylko czczą komedią odegraną dla zmylenia opinii. Jak słusznie zauważył bystry pisarz francuski, politycy, mędrcy i ludzie interesu zawodowo skłonni są wierzyć, że w tym życiu wszystko się na końcu jakoś układa i pomalutku wraca do punktu wyjścia. Zdaje się jednak, że dyplomaci w Waszyngtonie, w Londynie i w Paryżu pojmują nareszcie, że cały Bliski Wschód wszedł w ostrą fazę kryzysu, może przewrotu, z którego nie ma już powrotu do miłego, swojskiego status quo ante.



Delta Nilu

Przed niewielu miesiącami jeden z wafdystów-deputowanych wszedł na trybunę Izby i w patetycznym geście protestu podarł zeszyt zawierający traktat z Anglią. Wszyscy posławie podnieśli się z miejsc i odpowiedzieli huraganem oklasków i szalonych owacji. Król Faruk zapowiadał w swej mowie tronowej, że Egipt wypowiedzieć musi traktat, który wiąże go Anglią od 1936, i zamierza zakończyć kondominium w Sudanie ustalono ongiś, w 1899, kiedy sam Egipt był jeszcze w stanie zupełnej niemal zawisłości od Wielkiej Brytanii.

Król Faruk i jego ludzie z dworu, rządu i parlamentu nie mogą być podejrzani o antybrytyjskie uprzedzenia. Rządzące stronnictwo Wafd, acz wybrane na gruncie haseł lekko antybrytyjskich, jest wykładnikiem i narzędziem panującej klasy, która spekuluje i handluje, ciuła i eksploatuje, i skupia szalone bogactwa urągającej straszliwej nędzy mas. Skoro król, ministrowie i Wafd ozwali się nagle do Anglii stanowczym apelem i poprosili o wycofanie garnizonów brytyjskich ze swego obszaru, jasnym się chyba stało, że przemówiła ich ustami i głosem groza realnego i dogłębnego kryzysu. To nie sama Anglia, lecz także sami władcy Egiptu popadli w trudności, w wewnętrzne konflikty natury socjalnej, gospodarczej, w zamęt chłopskich buntów, wrzenia w fabrykach i na uniwersytetach, uciekając od tego szukają uśmierzających lekarstw w sukcesie zewnętrznym.

Było też dziwnie niedorzecznym, że w takim momencie gorączki Anglia, Stany Zjednoczone, Francja i Turcja zwróciły się do rządu w Kairze z cudaczną propozycją włączenia Egiptu do wojskowej organizacji obrony Bliskiego Wschodu, przyrzekając mu równe prawa, i zarazem dyskretne przedłużenie pobytu brytyjskich garnizonów nad kanałem suezkim. Mr Acheson zauważył w imieniu swego rządu, że Ameryka uważa ze swej strony anglo-egipski traktat z 1936 roku za ważny i obowiązujący.

SPRAWA między Egiptem a Anglią nie jest bynajmniej tylko refleksem udanej akcji Persa Mossadika, jak to niesłusznie się często przedstawia. Trwa ona i wiecze się od lat wielu, a rząd egipski coraz to znajdywał po drodze nowe zapory i coraz to nowe podawał motywy przewlekania rokowań z Londynem. Piorunujący efekt nacisku Persji, która w biegu kilku zaledwie miesięcy potrafiła zlikwidować prawną i faktyczną pozycję brytyjczyków w Abadanie, podziałał na opinię mas w Egipcie, jak iskra. Kampania Persji siłą i powodzeniem stała się dla Egipcjan przykładem i bodźcem, które rząd Nahasa Paszy postawiły wobec konieczności natychmiastowego działania. Stało się to błyskawicznie, nie bacząc na poważne różnice sytuacji między sprawą Persji a sprawą Egiptu. Można było wysiedlić z terenu Persji trzystu czy więcej cywilnych urzędników za pomocą kawałka papieru z pieczątką.

Inaczej jest z Anglikami w Egipcie. Nad kanałem suezkim stoją wyborowe wojska brytyjskie, którym przeciwstawić trzeba bitne i uzbrojone dywizje egipskie. Anglia dobrze i długo się starała, by Egipt nie miał pokusy tym środkiem się przeciwko niej posługiwać.

Wojska brytyjskie, które weszły do Egiptu w 1882 roku, do 1936 bez żadnej ceremonii utrzymywały stałe i wcale pokaźne garnizony we wszystkich głównych miastach Egiptu, w Kairze i w Aleksandrii. Dopiero przed czterema laty, pod uporczywym naciskiem rządu i mas burzliwie demonstrujących, opróżnione zostały przez Brytyjczyków wszystkie miasta, a garnizony zostały ściągnięte na obszar kanału suezkiego, który został ostatnim bastionem Wielkiej Brytanii w Egipcie. W 1946 minister Bevin zawarł z egipskim premierem Sidky Paszą umowę, która została przez parlament w Kairze jednak odrzucona. I tak umowa zawierała wszelako formalne zobowiązania rządu brytyjskiego, że wojska zostaną wycofane ze strefy kanału Suezkiego do września 1949. Trudno zaś ustalić jakimi motywami i jaką rachubą kierował się podówczas Bevin. Liczył może, że trzy lata zmienią na lepsze sytuację, a parlament egipski nie odmówi ratyfikacji tej umowy. Dla ostrożności umowa z 1946 roku pozostawiła dla zabezpieczenia brytyjskich interesów egipsko-angielskich Komitet, któremu powierzona była sprawa wojskowej obrony Egiptu.

NIE to jednakowoż było powodem, iż egipski parlament umowy nie chciał zatwierdzić. Istotną przyczyną oporu była druga kwestia, która i dzisiaj obie strony dzieli i wasni, sprawa S u d a n u. Umowa Bevina uznawała co prawda „ogólne ramy jedności Egiptu z Sudanem pod egipską Koroną", mówiła jednak tylko o samorządzie i o wspólnych staraniach obu kontrahentów, by Sudan mógł wykonać swe prawo decyzji i wybrać przyszły swój aparat państwowy.

W Kairze położono oczywiście nacisk na zasadzie jedności doliny Nilu i wspólnej Korony. W Londynie natomiast wskazywano na postanowienie o jej przyszłości. Spór ten spowodował odrzucenie układu przez Egipt, obalenie rządu w Kairze i po długich a próżnych targach i dyskusjach przekazany został przez nowy rząd egipski Radzie Bezpieczeństwa. Cztery długie lata tkwi sprawa układu anglo-egipskiego na porządku dziennym Rady Bezpieczeństwa spadając na liście coraz to niżej. Przypuszczać można, że ostatnia proklamacja parlamentu egipskiego, która obwołuje króla Faruka jako prawnego władcę Sudanu, przypomni Radzie Bezpieczeństwa, że zalegająca latami skarga wymaga szczególnej jej uwagi i działania.

JURYDYCZNA strona sporu przestaje jednak obecnie grać rolę. Londyn trzyma się litery traktatów, które formalnie obowiązują. Kair zaś słusznie przypomina, że układy zawierane były przez bezwolny i militarnie zajęty kraj i są niemoralnym przeżytkiem, który wola narodu i uchwała parlamentu raz na zawsze sprzątnęła. W tej chwili dla oceny położenia w Egipcie i w Sudanie stokroć ważniejszym jest rozważać realny stosunek sił, który może wskazać wyjście z sytuacji. Nad Kanałem suezkim wojska generała Erskina rosną w siły, które napływają z Cypru i z brytyjskiej metropolii, by stawić czoło atakowi, gdyby Egipt postanowił zbrojnie skończyć nielegalny stan okupacji swego terytorium.

Nieugięty i zaciekły Selah ed Din nie zdradza jednak zamiarów podjęcia akcji podobnej, natomiast sprawy kierując na tory walki dyplomatycznej i moralnej, co w świecie Islamu nie przejdzie dla Anglii bez poważnych następstw. Rząd egipski posiada ponadto w rękach sporo materialnych środków nacisku, które systematycznie puszcza już w ruch. Odcięcie wojsk brytyjskich nad kanałem od dowozu świeżych środków żywności i od wody da się rychło we znaki. Zamknięcie dostępu do miast, które są dla żołnierzy brytyjskich ośrodkiem zaopatrzenia osobistego i rozrywki, podziała przygnębiająco na nastroje wojska, skazując je na nudę i pustkę baraków, obozu i pustyni. Z garnizonów angielskich odpływa na rozkaz rządu w Kairze masa 100.000 miejscowych robotników, którzy pełnili dotąd pomocniczą służbę dla wojska. Cyfra to potężna i ubytek dotkliwy, który przyczynia komendzie brytyjskiej sporo kłopotu i wysiłku technicznego. Pewnym jest, że presja tych materialnych niedomagań nie pozwoli Anglii na przedłużenie konfliktu w nieskończoność.

ZGOŁA inaczej i nader zawile kształtuje się sytuacja w Sudanie. Ogień anglo-egipskiego sporu wzniecił tam wśród ludności pożar, który raptownie się szerzy. Anglia rozporządza w Sudanie całym aparatem administracyjnym, niedużą ilością wojska i sporą grupą zwolenników, którzy zorganizowani są w partię Umma. Na czele jej stoi sędziwy syn sławnego Mahdiego, Abdul Ramon. Ale Egipt też nie zaspał gruszek w popiele i potrafił przez swoich urzędników i wysłanników powołać do życia przyjazny sobie ruch polityczny i wyłonić stronnictwo zwane Aszigga.

Dwa te obozy Umma i Aszigga, jeden anglofilski, drugi związany z Egiptem mają oparcie w tajemnych i zwalczających się wzajemnie religijnych prądach, co zabarwia sprzeczności niebezpiecznym fanatyzmem. Anglofilska Umma szła dotychczas po drodze współpracy z Anglią pod hasłem i do celu niezawisłości. Po ostatnich apelach ze strony Kairu, które obiecują Sudanowi samorząd pod zwierzchnictwem egipskiej korony i zastrzegają tylko wspólność wojskową i spraw zagranicznych, Umma zaprotestowała bardzo gromko. Umma posuwa się nawet dalej i zapowiada, że na wypadek dalszego nacisku Egiptu na Sudan, nie zawaha się przed natychmiastowym proklamowaniem niepodległości kraju.

Groźba sudańska Ummy ma jednak dwa końce. Zwraca się ona jednocześnie do Egiptu i do Wielkiej Brytanii, której przypomina obcesowo, że pora jest wyjść z stadium nieśmiałych i ślamazarnych doświadczeń z samorządem i postawić jasno kwestię niepodległości Sudanu. Przestroga wywołała w Londynie konsternację i obawy, że i zaprzyjaźniona Umma przyłączy się do ruchu antybrytyjskiego licząc, zapewne trafnie, że z zakusami Egiptu łatwiej sobie poradzi po zlikwidowaniu angielskich rządów. Na razie posypały się ze strony Anglii oświadczenia i dobre słowa.

Najpierw przyszło z urzędu generalnego gubernatora Sudanu wyjaśnienie, że są już w pełnym toku przygotowania do pełnego usamodzielnienia kraju. Wnet po tym kroku w Chartumie, odezwał się Londyn przez usta Foreign Office i zastrzegł się, że nie uzna żadnych faktów dokonanych, bo o przyszłości Sudanu będzie decydował sam jego naród. Deklaracja londyńska zapowiada jednak zarazem, że rząd brytyjskie popiera wysiłki i starania generalnego gubernatora Sir Roberta Howe, by nadać Sudanowi najrychlej całkowity samorząd. Deklaracje te są dziś nazbyt skąpe, nawet dla zwolenników angielskich spod znaku Ummy. Sudan wpadł już w gorączkę realizacji i protektorat brytyjski nie znajduje żadnego więcej poparcia i oparcia.

USTĘPSTWA czy po prostu ustąpienie? Ustąpić z placu walki w Egipcie jest dla Wielkiej Brytanii nie lada zagadnieniem. Sprawa to na skalę strategi światowej i proces o znaczeniu historycznym. Bez Suezkiego Kanału wszelka nadzieja utrzymania spoistości Brytyjskiej Wspólnoty na dalszą metę, zwłaszcza w wypadku konfliktu zbrojnego, rozwiewa się w nicość. Kanał jest bowiem jedyną arterią morską, która daje imperializmom europejskim prostą i łatwą łączność komunikacji z obszarami Azji, nad którymi jeszcze panują i które eksploatują. Bez Egiptu i jego Kanału, kruszy się i rozpada łańcuch baz i sojuszów, którymi Londyn i sprzymierzeńcy jego usiłują opasać Związek Radziecki od południowej strony.

W pasie tym dzięki wystąpieniu Persji rozwarła się ogromna luka i rozszerza się ona gwałtownie wciągając po kolei inne państwa i narody muzułmańskie, jak Syria, Irak i in. Ustąpienie z Sudanu zaś oznaczałoby przełamanie drugiej i ostatniej linii strategicznej, którą rozporządza Anglia w Afryce. Od kilku lat bowiem, przewidując wycofanie się z przednich swych pozycji na brzegach Morza Śródziemnego, zaczęła Anglia budować na tyłach ich szeroką strefę wojenną przeznaczoną dla skupienia sił wojennych, i zarazem jako nowy, mocny zastępczy bastion swego imperium w Afryce. Ustąpienie z Sudanu byłoby kresem tych strategicznych rachub.

W taki to sposób decyzje i ostatnie kroki Egiptu rzuciły dziś na szalę wypadków wielką, dziejową stawkę. W tej grze, która gwałtownie się toczy nad Nilem i nad Suezem, w najbardziej chyba newralgicznym punkcie pomiędzy Zachodem a Wschodem, imperializm brytyjski bije się zażarcie o swe ostatnie pozycje wypadowe. Egipt zaś dobijając się w rozpaczliwym wysiłku o pełnię swych praw narodowych i państwowej suwerenności, jakby mimochodem rozbija południowy front imperialistyczny, i poprzez swą neutralność walnie się przyczynia do zabezpieczenia — pokoju świata.

W CAŁEJ dolinie Nilu, od źródeł do delty jego i ujścia, dokonuje się przełom. Obraz jego w szkicu tym nie byłby pełny, gdybyśmy nie zdali sobie sprawy z sił, które są w ruchu. Jak w Persji, w dobie naftowego kryzysu, świat interpretuje chętnie wypadki pod kątem widzenia Islamu i fanatycznych jego mas, czy związków. Tam byli „Fedayan Islam", tu zaś, w Egipcie, gorączkowo krząta się na ulicach Kairu i Aleksandrii „Muzułmańskie Bractwo".

Dzięki przyrodzonej ksenofobii Islam stał się dla narodów wschodu potężną bronią walki przeciw obcemu panowaniu. Obok Islamu, religijnej tradycji działają już także silne i wszędzie nowe żywioły, które najlepiej uprzytamnia i symbolizuje młodzież licznych uniwersytetów arabskich. W niej, w jej niezmordowanej agitacji po wsiach, wśród fellahów, i w miastach, tkwi ta siła, która nadgniłe nieraz rządy paszów feudalnych popchnęła na drogi narodowego wyzwolenia.



Generał: Trzeba tak zrobić żeby Kanał Sueski wpadał do Atlantyku

Ci synowie fellachów, najbiedniejsi z biednych, odwracają w Egipcie ważną kartę dziejów w momencie, kiedy w odległym Londynie ster rządów ujął wielki epigon brytyjskiego imperializmu. *Karol Skurpiewski*

Irena WNUKOWA

DROGA ANNY

ZDAWAŁO się, że wszystko dookoła nabrzmiewa słońcem. Powietrze było soczyste, ciepłe, panowała jakaś absolutna pełnia dobrego, wiosennego dnia.

Kępy na błotach zieleniły się jaskrawo, sosny oddzielające dróżkę od pól płonęły u swych szczytów wilgotną jeszcze i gładką korą. W tym osłoniętym od najlżejszych podmuchów miejscu można było niby w termometrze wyczuwać narastanie południa.

Ile to już razy w ubiegłych latach, tak samo jak dziś, siedziała Anna u brzegu starego wykopu i patrzyła w zamglone słońcem oczy żab. Rzucała okruchami na zakrzepłą taflę wody, żaby leniwie zeskakiwały z liści. Woda była czarna, a równocześnie przejrzysta aż do torfowego dna — pnącza i łodygi wiły się w niej jakgdyby w akwarium.

Próbowała dotrzeć pamięcią do momentu, w którym zatrzymała się tutaj poraz pierwszy. Było to chyba wówczas, kiedy niespodziewanie spadły śniegi i ojciec brał ją na ręce, by przenieść przez zaspy koło lasu. Ale wtedy błotka leżały spokojnie pod białą pokrywą — miejscami tylko pocierały się nad nimi z szelestem suche trzciny.

Zadumę jej przerwał szczupły mężczyzna pochwaliwszy Pana Boga. Oddalał się prędko, jego wysoki cylinder ginął już za pniami drzew. Dopiero teraz spostrzegła, że jest już bardzo późno. Musiała ruszyć dalej. Wstała i na nowo poczęła ją drążyć uczucie męki. Myśli nabierały coraz szybszych obrotów, przelatywały po niej mgnieniem, napierały jedna na drugą. Nadal odpychała prawdę o jakiej upewniał telegram zamknięty w torebce. Bezwiednie przyśpieszała kroku.

— Pani też jidze na pogrzeb? — zapytał nagle z boku ten sam mężczyzna we fraku.

Trzeba było odpowiedzieć i zwolnić skoro go dogoniła.

— Jo, jo, takie to żece...— kontynuował — wszetci pomału odchodzą... A pani z daleka? —

— Z Warszawy. — mruknęła niezbyt uprzejmym tonem.

— aaa... spojrzał na nią uważniej i przełożył na drugą rękę wianek z papierowymi różami... aa to pani może znajoma Biangów? — Mówił niezdecydowanie.

— Nie, krewna. Też Bianga.

— Tychle z Marzęcena — ożywił się — Feliksa córka?

— Nie, Franca.

— Eeejle! Doch Anka. — Krzyknął zdumiony i kończył już zwyczajnie. — No jo, jo Anka... tele lat.. dec [1]) ja tu wnetki z dwadzieścia roków nie beł....

— A pan skąd?

— Przece ja Alojz, Miotk, masz mnie to decht [2]) zapomnione?

— Pamiętam „Kogut".

Roześmiał się ucieszony i dalejże opowiadać, jak to przed dwudziestu laty, dla niej, małej o czarnych włosach dziewczynki, wyjadał ziarna z żytnich kłosów i piał długo i głośno. Droga w skrętach daleko pozostała za nimi, a on stale mówił i mówił głośny i podniecony. Przedostali się skrótem na skraj lasu i zeszli do szosy Nadjeżdżała nią akurat bryka wyładowana po brzegi ludźmi.

— Anulkłe — odezwał się z koźła ściszonym i łagodnym głosem Jan — czemu żes to perznę [3]) nas nie czekala kole stacji, le pieszo szła? ..

Jego okrągła twarz była nabrzmiała i czerwona. Wygięte plecy obciągała zrudziała burka, jaką zwykle nakładał do pracy w polu.

Szprychy coraz wolniej wytaczały pod górę koła z zaschniętych w glinie kolein. Szli równolegle do nich pomału i trudno. Jan potrząsnął lejcami po gładkich bokach koni: Maks, Leda, cągnij le cąg...

Na górze sad gęstniał od liści i kwiecia. Z przegrody w drewutni beknęła owca, żółciły się pod daszkiem porządnie ułożone szczapy — wszystko było czyste, sprzątnięte, podwórko i łączka dla cieląt, płoty naokoło, dom wybielony, gnojówka pokryta chojną — jak gdyby przygotowywano się do jakiejś nienaturalnie odświętnej fotografii. Nawet psy nie szczekały.

Przed chałupą witała gości stryjenka patrząc prosto na każdego zmęczonymi oczami. Na tle tych uroczystych, a tryskających zdrowiem ludzi, wydała się Ance stara, gasnąca — ot spełni tylko ostatnie obowiązki wobec przyjaciół i krewnych i pójdzie za mężem.



Porwało Annę pragnienie aby uciec. Aby odsunąć od siebie ciężki dzień, jaki — wiedziała to, będzie musiała tutaj przeżyć.

Przesunęła się za czarnymi plecami gości poza węgieł domu. Drewniane odrzwia furty rozwinęły przed nią wachlarzem dobrze znany krajobraz: pola sfalowane z lasami na widnokręgu, żółte i niebieskie plamy łubinu, zagony buraków biegnące po wzniesieniu równiutkimi, uczesanymi rządkami, a tuż blisko kartofle.

Pamięć jej, jak nagrana płyta włączona na moment, odtworzyła mowę stryja:

— Jo, jo, a wiejle [4]) tu teło roku sadzone bulwe — fajn będą bulwe, jo, jo...

Niemal pewna była, iż kontem oka mogłaby dostrzec zgrubiały palec wskazujący na ziemniaczane pole.

Pogrążała się we wspomnieniach niby gałązka na wodzie coraz to nabierająca ciężaru i opadająca w głębię. Rzeczywistość roztapiała się i odrealniała. A jednak nie pozwolono jej na ucieczkę. Początkowo nawet nie zdała sobie sprawy z tego, że ktoś napiera na furtę po drugiej stronie. Z wysiłkiem oderwała plecy od desek.

— Ankłe nie chcész te zazdrzec [5]) na tatka zanim trumna zabiją? — pytała nieśmiało Marta. Stała obok niej drobna, spłakana, ani nie starała się hamować łkania, kiedy oczy i nos nadrzmiały podcierała wilgotnym zwitkiem.

Serdeczny żal ogarnął Annę. Ta młoda kobieta może poraz pierwszy usłyszy za chwilę stukanie młotka o wieko trumny. Uderzenia krótkie, lekkie, pod którymi gwóźdź coraz silniej spajać będzie drzewo, aż przyjdzie mocny cios kończący pracę i nie odwoła się go już żadnym pragnieniem serca...

I o dziwo, teraz kiedy dopuściła do swej świadomości to, przed czym chciała uciec, strach zamiast się spotęgować, maleć w niej począł i ginąć.

Z gestem pełnym czułości objęła kobietę:

— uspokój się, uspokój Marta...

Ale nie ukojenie wywołały jej słowa pociechy, bo nastąpił po prostu wybuch goryczy i żalu. Wylało się z Marty od razu wszystko, wszystkie nagromadzone bóle i troski.

— Patrz te — wołała wyciągając spękane do krwi dłonie - a wiedne [6]) godają co ja za mało robię! jeszcze ten Władk przejechał, a wegaduje na mnie a wegaduje, że mi z doma nic nie dale, że łene wcale nie chcale cobe sę Jan ze mną żenił... Że łen już radę znajdze cobe nas stądka rut wenekale [7])... Swianta Marijo — co tén chcé... szlochała.

POD łagodnie uśmiechniętą Madonną z Dzieciątkiem i gołębiami, wśród pierwiosnków i śniegulek, leżał stary Bianga. Olbrzymie, spracowane ręce jak order ułożono mu na piersiach. Wysmukłe świece przetykały mrok złotymi migotami, pachniało ciepłym woskiem, ziołami. W sąsiedniej izbie starczy głos zaintonował pobożną pieśń, do niego zwolna dołączały się basy i tenory. Siedzieli za otwartymi drzwiami, przy zestawionych w rzędy stołach, towarzysze młodości Jółzefa. Sąsiedzi i znajomki, siwi, wąsaci — jeszcze ten i ów z nich wycierał nos w czerwoną chustę, rożek tabaki dobiegał kolejno swego właściciela, dziewczęta zbierały pospiesznie półmiski pozostałe po posiłku i zerwał się głośny, chóralny męski śpiew. Niejeden ton brzmiał już trochę ochryple, boć i śpiewali tak przez całą noc [8]). Niełatwa była ostatnia służba przy druhu... Melodia unosiła się i zniżała znajomymi strofkami, słowa przelewały się swojsko, gwarowo, wracał dla Anny raz jeszcze na jawię świat dzieciństwa. Dłonie umarłego jaśniejące w pomroce przyciągały do siebie — nakryła je dotknięciem nieledwie pieszczotliwym.

Z kąta uleciało pod pułap głębokie westchnienie i zgięta w klęczkach przy zydlu staruszka wyrzekała kiwając głową.

— jo, jo dółbry to beł człowiek, mógł łen jészcze na tym swjece pożec, ale swoje łen zrobił, a Pan Bóg tam wié co czyni....

Czyż nie musiała się przyłączyć do tych statecznych, z losem człowieczym pogodzonych słów... Lekko jak muśnięcie przyleciało ku niej wspomnienie chwil jakie spędziła przy łożu ojca, a potem matki. Nie potrawiła się więcej buntować. Za to napływały coraz nowsze fale smutku, bo przecież to żegnała nie tylko jego, starego Jółzwa, ale całe swoje Kaszuby. I potem kiedy już wędrowała razem z innymi przez pola i łąki za umajonym chojną, drabiniastym wozem uwożącym trumnę, opanowywała ją coraz silniej obawa, że może w te strony więcej nie powróci. Wzrokiem czepiała się krzyża na rozstaju, kępy drzew, rowu, każdego załamania drogi, ramiona jej drgały jakby się miały zaraz rozerwrzeć i przygarnąć wszystko do siebie. Za lasem na wieży podzwaniał rytmicznie dzwon, poskrzypywał długi ciąg pojazdów, parskały konie, gospodarze wokoło niej wyśpiewywali z książek.

A gdi ujdzeme tak gniéwu jak
chłoste
pokaż nam Matko tor do niéba
prosty
niechaj to Serce z któłrego opieci
dotąd żyjeme, kochame na wieci...

NA cmentarzu stara ciotka Szymerowska popatrzyła na nią z zainteresowaniem.

— A ta skądka je?

— Dec to córka Franceszka. Sztuderuje teraz na doktóra w Warszawie.

Ciotka Szymerowska miała już chyba blisko ze sto lat. Odkąd ją pamiętała, zawsze była zgrzybiała, zgięta we dwoje. Ale jej umysł pracował i nadal rządziła każdym despotycznie. Kazała Annie wsiąść do bryczki odwożącej gości z powrotem, a później też musiała ciotce dotrzymywać towarzystwa.

— Jo Ankłe, a jak Franc ze Sztuthoffu przeszed. to beł łen tak decht zdrółwy? — dowiadywała się staruszka.

— O ojciec przyszed zmarnowany, trochę z matką podkurowałyśmy, ale i tak niedługo umarł. No a matka to wiecie...

— Jo, łena łońścieło [9]) roku poszła. wiém ja wiém... Chcala ja do waji [10]) na pogrzeb przejechac, ale to beła zema, zem mrółz... — A te co tam w dredzi izbie robią? — zaskrzeczała ciekawie — biejle [11]) no słechac.

W sąsiednim pokoju rumor się wzniecił i hałas. Kilku gburów [12]) nawzajem starało się przegłuszyć. Władysław zerwał się zza stołu i tym ruchem gwałtownym zyskał sobie przewagę. Głos mu aż przenosiło od krzyku. Stary Górna pociągnął go za połę

— sednij sę Władk, na pogrzebie będzesz te kłótnie robic, wstedu niémasz...

Władysław odgarnął go niecierpliwie.

— Najlep łedrazu pokądka wszeti jesma [13]). Me młesema [14]) zapis tatka dac unieważnic a na nowo wszetko sprawiedliwie rozdzelic. Dec Jan wiedne plöskotał [15]) na co mu tele zyjmi, że telko sę barzo urobi. Taci jak łen to gotółwi jeszcze do spółdzelni przestąpic, a wszetko przepadnie...

Anna nie wytrzymała. Przypomniała sobie Marty gorzkie skargi, Jana stroskane oblicze — zaczęło ją po-



nosić. Wyskandowała dobitnie, wibrująco od złości:

— Twój ojciec chyba wiedział co robi prawda? A tobie mało jeszcze ziemi co?...

Władysława szeroka twarz spurpurowiała, wysadziło mu aż na wierzch zagryzione złote zęby.

— Weeejle tą... — ksztusił się —.. ta nam sę tu bądze mądrzic... Idze do miasta, do tych co cę uczą, im kadzic a przeklaskiwac, a wesłegiwac sę za łaskę.. te...

— Jak sam poślesz dzieci na studia to zobaczysz tę łaskę — przerwała mu.

— Och — zaśmiał się szyderczo — nie bój sę te, ja moich dzécji nie dam. Dosc beło tacich co do szkół poszle a pótę z nich nic nie beło, jednę [16]) sę z wysoka mówic nauczele, a na tych doma z góre patrzele.

Właśnie odrzekła Anna — dosyć było takich, a teraz będą inni, teraz będą tacy co do swoich wrócą i będą tacy jak wszyscy — tyle, że się może od nich i poniektórzy czegoś nauczą.

Gronie rozbłysły oczy uśmiechem, podgarnął filuternie wąsy do góry i podniósłszy się ciężko z ławy, klepnął Annę w ramię.

— Dółbrze te rzékła Anulkłe, jo. Chceme le se zażec bracje — zwrócił się do sąsiada i poszli obaj godnie z powagą przed progiem chałupy odprawiać misterium zażywania tabaki.

Kukułka na sprężynie wyskoczyła z szafki zegara, zużyty mechanizm brzęczał, terkotał, wydobył z siebie nareszcie anemiczne kukanie. Dzień się skończył. Jan pospieszył zaprzęgać do wozu, ale Anka go zawróciła.

— Daj pokój Janku. Masz jutro robotę w polu, konie będą zmęczone...

Sama schodziła ścierzynką z góry. Naraz coś zimnego dotknęło jej łydki — aż nogę w kolanie ugięła. To pies Józefa odbywający na gospodarstwie dożywocie za wierną pracę, odprowadzał ją tak, jak to dawniej ze swym panem czynił. Zdążali zatem we dwoje. W Annie wzrastał niepokój. Tam w chacie wypowiedziała słowa, które brzmiały zobowiązująco, a przecież nie zastanawiała się nad nimi w ferworze. Miały w sobie coś z utartych sloganów i haseł, tak łatwo z ust wyleciały... ...czyżby były tylko „słowami bez pokrycia"... — myślała o swych dotychczasowych planach, by po dyplomie zabiegać o praktykę w szpitalu, o przydział w mieście — i zrozumiała nagle, że kryło się w nich ziarno uczciwego pragnienia, tego najgłębszego, najsprawiedliwszego. Pewność tego stwierdzenia rozszerzała serce, chciało jej się krzyczeć w ogniste słońce nawisłe nad borem.

— Hej Seka — zawołała do psa — ja tu powróce wiesz! A terozki biej do dom, biej, dalej już sama pójdę.

Spojrzał na nią bacznie unosząc rudy pysk z drobnymi zębami i zawrócił posłusznie wlokąc po miedzy zreumatyzowaną nogę.

Objaśnienia.

1) dec = przecież, 2) decht = całkiem, 3) perzne = trochę, 4) wejle = patrzże, 5) zazdrzec = zajrzyć 6) wiedne = stale, ciągle, 7) rut wénekale = precz wygnali, 8) Noc przed pogrzebem spędzają Kaszubi wg starego zwyczaju, na modlitwach, śpiewach — nazywają ją „pustą nocą", 9) łońścieło = zeszłego, 10) do waji = do was, 11) biejle = biegnijże, 12) gburzy to nie gburowaci ludzie ale po prostu po kaszubsku, gospodarze, 13) jesma = jesteśmy, 14) młesema = musimy, 15) plöskotał = „pluskał", bajał, 16) jednę = jedy-

Irena Wnukowa

CZY KRYZYS NEOREALIZMU

OD dłuższego czasu zachodnio-europejska prasa reakcyjna zamieszcza artykuły, obwieszczające bankructwo neorealistycznego kieruknu kinematografii włoskiej. Największą dyskusję, najwięcej ataków wywołał ostatni film Vittorio de Sica „Cud w Mediolanie", uznany za dowód kryzysu neorealistycznego nurtu. Zarzuty były często nonsensowne, jawnie ośmieszały autorów artykułów, niemniej wytworzyły jeszcze przed wejściem filmu na ekrany włoskie jakąś atmosferę „kontr-propagandy".



Scena z filmu Vittorio de Sica „Dzieci ulicy"

Film przyjęty życzliwie przez postępową krytykę, mimo nagrody, którą otrzymał na Festiwalu w Cannes, został natychmiast po zakończeniu Festiwalu zaatakowany przez francuskich publicystów prawicowych, zarzucających de Sice błędne przeładowanie baśniowej fabuły treściami publicystycznymi, przyjęcie postawy filozofa sprzecznej jakoby z postawą artysty.

W tym samym kierunku poszły ataki włoskiej prasy, która oskarżyła de Sica o propagandę komunistyczną, o żerowanie na nędzy ludzkiej, o wulgarne alegorie przemycające treści polityczne. Pisano, że „Cud" jest ukrytą satyrą na angielski konflikt w Iranie (w filmie bowiem na terenach zajmowanych przez bezdomnych nędzarzy zostaje odkryta nafta, i to decyduje o wysiedleniu mieszkańców z ich, z trudem skleconych, baraków), że początek filmu, w którym dobra Lolottata znajduje pewnego razu dziecko urodzone pod kapustą jest propagandą materializmu ponieważ sugeruje, że człowiek powstaje z materii, że raj do którego odlatują na miotłach prześladowani nędzarze został pokazany w ten sposób, by widzowi podsunąć myśl, że ów raj to Związek Radziecki i tak dalej i tak dalej.

Tym wszystkim bzdurom towarzyszyła „obiektywna" analiza potknięć filmu, głosy współczucia, że tak dobrze zapowiadający się talent zmanierował się w skutek rozpolitykowania. Wylewano krokodyle łzy nad rzekomym artystycznym bankructwem kierunku, który zamknął się w ciasnej nudnej problematyce i załamał się jakoby dlatego, że reżyserzy nie chcieli zrozumieć, iż nużąca monotonia tematów musi doprowadzić do kryzysu. Atak na „Cud w Mediolanie" stał się punktem wyjścia do ataku na wszystkich postepowych reżyserów włoskich, ataku, który rozwinął się w propagowanie tezy, że cały nurt neorealistyczny przeżywa nie tylko kryzys, ale zdecydowane załamanie, bankructwo uwarunkowane nie jakimiś ograniczeniami cenzury czy brakiem środków finansowych, ale zwyrodnieniem artystycznym możliwym do przewidzenia dla każdego, kto śledził fałszywe założenia tkwiące u podstaw neorealistycznego kierunku.

By zrozumieć sens tych ataków, warto zająć się poprzednimi głosami o neorealizmie, poprzednimi atakami lub przemilczeniami.

RECEPTY

Powodzenie takich filmów jak „Rzym miasto otwarte", „Dzieci ulicy", „Słońce wschodzi", ich sukces kasowy i artystyczny, sprawiły, że od razu próbowano sprecyzować specyfikę nowości i odrębności tych filmów, próbowano podpatrzeć receptę na neorealizm. Dopatrywano się nowej recepty w formalnej strukturze, w zewnętrznej nonszlancji ujęć, w prostocie środków wyrazu, w wyeliminowaniu wszelkiej retoryki i wszelkiej efektowności rzemiosła filmowego. Widziano ją w szukaniu dla fabuły dokumentarnej scenerii, w rezygnacji z zawodowych aktorów, w wyjściu z atelier na ulice.

W pierwszym okresie poważnie pokwitowały sukces nowych filmów włoskich jedynie postępowe pisma zachodnio-europejskie i najszersza publiczność. Recenzenci i publicyści prasy burżuazyjnej albo milczeli, albo bardzo lakonicznie informowali o nowych tendencjach w kinematografii włoskiej, najczęściej krytycznie analizowali potknięcia techniczne.

W latach 1946-48 znacznie obszerniej pisało się w Polsce o włoskich, prawie nieznanych jeszcze u nas, filmach niż w Anglii, Francji czy Ameryce. W angielskim pingwinowskim „Film Review" wydawanym w tych latach znajdujemy znacznie więcej głosów o filmie meksykańskim, hinduskim czy zachodnio-niemieckim niż o włoskim, a największa z zamieszczonych notatek zupełnie fałszywie dopatruje się specyfiki neorealizmu w wypracowaniu nowego autonomicznego „języka" filmu„ w zastosowaniu dokumentarnego stylu narracji.

Amerykanie zainteresowali się włoskim filmem nie tyle analizując krytycznie czy oceniając jego artystyczną wartość, ile zajmując się przyczynami jego sukcesów kasowych. Podobno „Rzym miasto otwarte", „Dzieci ulicy", „Słońce wschodzi" były pokazywane wiele razy producentom i scenarzystom, którzy oglądali kilkakrotnie każdy akt, by podpatrzeć tajemnice włoskiego stylu. Tajemnic szukali w strukturze formalnej filmów, w jakiejś rzekomo zagadkowej metodzie reżyserskiej. Zaczęto głosić, że odrębność włoskiego realizmu polega na braku stylu, na bezpretensjonalności fotografii, prymitywności budowy dramaturgicznej, na unikaniu wyrafinowania formalnego. Dostrzeżono je w akcentach naturalistycznych, w pokazaniu nowego typu bohatera, wybranego z tłumu, obdartego i nieuszminkowanego, egzotycznego dla snobistycznej publiczności. Rozpoczęto praktycznie wyzyskiwać te „odkrycia" relizując filmy, podszywając się pod neorealizm. W kryminalnych schematach fabularnych zastosowano scenerię malowniczo nędznych ulic, pasowano prawdziwych bandytów na aktorów, robiono filmy w plenerech, ubierano aktorów w łachmany, wprowadzano akcenty naturalistyczne. Jednak fałszowany neorealizm zawiódł. I publiczność i krytyka poznały falsyfikat.

Podobnie działo się we Włoszech. Powodzenie filmów neorealistycznych wpłynęło na to, że wielu reżyserów próbowało „koniunkturalnie" włączyć się w ten nurt. Faszysta Blasetti bezskutecznie imitował Rosseliniego, jednak jego filmy tak dalece nie miały powodzenia, że zrezygnował z tych prób i wrócił do monumentalnego, pełnego retoryki stylu swoich poprzednich filmów. Prób tych było wiele. Najbardziej dyskutowana była sprawa filmu Geniny „Niebo nad bagnem", opartego na historii życia włoskiej świętej Marii Goretti. Genina usłował sobie przyswoić neorealizm, film był reklamowany jako należący do „neorealistycznej szkoły". Postępowa prasa katolicka przyjęła go z zażenowaniem, a nawet reakcyjni krytycy nie ukrywali oczywistej prawdy, że „neorealizm" Geniny jest jakimś nieporozumieniem. Genina wprowadził dokumentarną scenerię, niezawodowych aktorów, zewnętrznie wystylizował swój film wzorując się na „Ziemia drży" Viscontiego. Tematem miała być sprawa młodej dziewczyny, która ponosi największą ofiarę, by obronić swoją niewinność. Genina ten, wydawałoby się, główny wątek filmu zatracił w naturalistycznym opisie szczegółów zwyrodnienia i upadku środowiska. Główną sprawą stała się historia gnębiciela. Film nie mówił o czystości dziewczyny, albo mówił bardzo niewiele, natomiast dokładnie opisywał sadyzm i zdegenerowanie napastnika. sceny napaści graniczyły z pornografią, a rzekoma podbudowa tła środowiskowego zajmowała się wskazaniem moralnego zdziczenia.

Wszystkie te próby udowodniły, że imitacja stylu nie oparta na wewnętrznym uzasadnieniu prowadzi do maniery, że ten nurt, który wsławił film włoski na całym świecie, nie da się naśladować.

KRYTYKI I RADY

Mniej więcej od 1948 r. prasa prawicowa zamiast przemilczać osiągnięcia, albo krytycznie analizować błędy techniczne zaczęła wyraźnie atakować nurt neorealistyczny. Przyznawało się wówczas, że reżyserzy mają talent, niemniej uważało się problematykę filmów za jakąś kompromitację Włoch. Publicyści prawicowi oburzali się na fałszowanie prawdy o kraju, który jest legitymowany postaciami nędzarzy, bezrobotnych i wykolejeńców. Radzono reżyserom i scenarzystom, by zajęli się „innym, lepszym światem, by pokazali w swoich filmach Włochy szczęśliwe i zamożne, by zainteresowali się problematyką ludzi sytych i zadowolonych".

Zaczęła się szeroka dyskusja nad perspektywami rozwoju włoskiego filmu, przyczynami kryzysu, nad tym, czy można mówić o bankructwie neorealizmu. Ostatni w dyskusji tej wypowiedzieli się znany reżyser Giuseppe de Santis i postępowy publicysta i teoretyk filmu Chiarini.

ZABIERA GŁOS REŻYSER „TRAGICZNEGO POŚCIGU"

De Santis scharakteryzował atmosferę całej dyskusji, w której jedni świadomie pragną obniżyć, zdyskwalifikować osiągnięcia postępowych reżyserów, mniej albo bardziej obłudnie atakując neorealizm, i ci, korzystając z każdej urojonej okazji, wróżą bankructwo artystyczne tego kierunku, drudzy zaś wróżą kryzys, bowiem zajęci analizą szczegółów nie dostrzegają całości zjawiska, zajmując się krytyką formalną nie rozumieją istoty nurtu określanego mianem neorealizmu. Z pierwszymi dyskusja jest niemożliwa, z drugimi należy ją podjąć.

Według de Santisa, aby móc mówić o całości zagadnienia, trzeba najpierw zastanowić się dlaczego film włoski stał się po wojnie wydarzeniem artystycznym. Nie mają racji ci, którzy dopatrują się specyfiki neorealizmu w wypracowaniu jakiegoś stylu. Nie istnieje bowiem styl jednolity, wspólny dla wszystkich filmów zaliczanych do tego nurtu. Istota neorealizmu polega na jego głęboko narodowym charakterze. Siła pierwszych filmów Rosseliniego czy de Sica polegała na prawdzie życia, na przesunięciu obiektywu z jednostronnych obrazów świata burżuazyjnego na szerszy świat, pełny i prawdziwy. Filmy były narodowe, związane z dążeniami do wyzwolenia, z walką o wolność, w czasie której o losie kraju decydował walczący lud włoski.

Filmowcy mimo odmiennych poglądów połączeni byli wspólną postawą: pragnieniem powiedzenia prawdy o swoim kraju. Wyszli w poszukiwaniu tematów na gościńce, pełne nędzarzy, repatriantów i rozbitków. Zrozumieli, że tragedie i losy jednostek są związane z losem całego kraju. Że mają wspólne przyczyny. Pokazali ludziom ich własne twarze, wyszli jakby naprzeciw życiu. Przez nowe filmy przemówiła siła, patos, wielkość problematyki rzeczywistości. Zainteresowanie losem prostych ludzi, tych którzy stanowili centrum walki i rewolucyjnych dążeń, doprowadziło reżyserów do poznania, poznawania w czasie realizacji filmów, mniej lub więcej pełnej prawdy o konfliktach społecznych, o walce, o przyczynach zła i krzywdy.



Scena z filmu de Santisa „Tragiczny pościg"

Zagadnienie dalszych perspektyw rozwoju reżyserów można według de Santisa rozwiązać tylko na podstawie analizy ich dotychczasowych osiągnięć. Ci, którzy rozwijając temat walki o wolność potrafili pokazać los jednostek w kontekście historycznym i społecznym, którzy potrafili położyć nacisk na jej społeczny charakter, budowali akcję nie na perypetiach jednostek, ale na analizie środowiska na analizie ogólnych zjawisk — ci mają drogę wytkniętą. Ci natomiast, którzy jak De Sica algo Germi („Złodzieje rowerów", „Droga nadziei") zajęli się problematyką jednostkową, położyli nacisk na psychologiczne sprawy bohaterów, zwęzili wymowę swoich filmów. Spojrzeli na ludzi jak na byty wyizolowane, nie dostrzegli typowości zjawisk. Stąd ton pesymizmu i rezygnacji. Niemniej, pokazując niesprawiedliwość społeczną, musieli zrozumieć jej przyczyny, i zadaniem tych reżyserów jest wyciągnięcie konsekwencji z własnych filmów. Muszą razem ze swymi bohaterami zrozumieć sens walki, która się toczy, muszą razem z nimi walczyć przeciw niesprawiedliwości.

Opierając się na tych stwierdzeniach de Santis uważa, że o kryzysie neorealizmu nie można mówić w chwili, kiedy filmowcy nowymi filmami nie udowodnili jeszcze, jaką pójdą drogą. Nie można mówić i dlatego także, że de Sica w „Cudzie w Mediolanie" pokazał właśnie, iż w pewnej mierze wykorzystał naukę poprzednich swoich błędów.

Tylko dzieła filmowców mogą mieć głos decydujący. Jeśli neorealizm nie będzie prowadził do coraz głębszego poznawania, analizowania włoskiej rzeczywistości, wtedy będzie można mówić o jego kryzysie. W tej chwili, według de Santisa, dotychczasowa postawa reżyserów pozwala wierzyć w to, że będą wierni samym sobie, że obronią się przed przekupstwem i naciskiem cenzury i swoją twórczością udowodnią bezpodstawność tezy o upadku filmu włoskiego.

TRZEŹWA OCENA.

Sądzę, że w tej dyskusji słuszniejszą ocenę sytuacji daje Chiarini, który polemizuje z tezami de Santisa.

Chiarini stwierdza, że specyfika neorealizmu nie polega na przesunięciu obiektywu ze świata burżuazji na lud. Neorealizm jest kierunkiem zdeterminowanym nie jakąś abstrakcyjną postawą reżyserów, ta postawa jest związana z momentem historycznym, w którym się ukształtowała.

Reżyserzy w momencie wyzwolenia z jednej strony przeżywali tragedię Włoch, byli tak jak ich bohaterowie uczestnikami ogólnej tragedii, a z drugiej przeżywali upojenie swobodą, wolnością mówienia prawdy o otaczającym ich świecie. Weszli w problematykę nędzy, zniszczenia, zamieszania i gruzów starego świata z nadzieją w odbudowę nowego, z pasją przyczynienia się do ukształtowania życia swego kraju na lepszych, sprawiedliwszych podstawach. Zdaniem Chiariniego ta wiara zdecydowała o tym, co de Santis nazywa wspólną postawą. Zdecydowała o żarliwości, z jaką reżyserzy poznawali rzeczywistość, zdecydowała o tym, że zawarli w swych filmach jej obraz, że poznawali ją i wydawali o niej sąd.

De Santis ma rację mówiąc, że nie wolno ogłaszać bankructwa neoralizmu ani klęski reżyserów, jeśli się ją rozumie jako klęskę artystyczną, natomiast trzeba stwierdzić, że zmieniły się we Włoszech obiektywne warunki. Życie Włoch nie odbudowało się na nowych, lepszych podstawach, przeciwnie: zwyciężył stary, wydawało się, zbankrutowany system. Niewątpliwie zmiana klimatu musi za sobą pociągnąć i zmianę nastawienia reżyserów. Nie to jest wszakże najważniejsze, najważniejsze są coraz większe trudności, na które napotyka każdy reżyser, chcąc realizować uczciwe filmy. Zaostrza się cenzura. Względy kasowe, które dotąd decydowały o tym, że producenci nie wypowiadali zdecydowanej wojny tendencjom neorealistycznym, bowiem filmy te przynosiły poważne zyski, ustępują względom politycznym. Zniknęła początkowa swoboda. Neorealizm jest nie tylko atakowany w dyskusjach prasowych ale także zwalczany przez władze. Ginie przemysł filmowy, zmniejszają się możliwości finansowe.

Kryzys neorealizmu nie jest kryzysem tendencji ani bankructwem reżyserów, lecz kryzysem filmu włoskiego w ogóle. Jest związany z ogólną sytuacją kraju. Chiarini słusznie, wydaje się, zarzuca de Santisowi abstrakcyjność rozumowania i kończy swoją wypowiedź słowami:

„Obrona filmu włoskiego nie powinna polegać na ukrywaniu prawdziwej sytuacji. Nie można walczyć o dobry film w ramach tego świata, trzeba walczyć o lepszy świat, o ustrój, który da filmowi realne możliwości rozwoju. Wszystko inne jest tylko retoryką".

Leszcz

Z Filharmonii Warszawskiej

NA IV Koncert Symfoniczny Filharmonii Warszawskiej złożyły się następujące utwory: Symfonia Es-dur Wolfganga Amadeusza Mozarta (1756 — 1791), koncert fortepianowy G-dur Ludwika van Beethovena (1770 — 1827) oraz Uwertura Akademicka Jana Brahmsa.

Wolfgang Amadeusz Mozart twórczość swą rozpoczął bardzo wcześnie, bo już w piątym roku życia tworzy swoje menuety i gra na skrzypcach. Mając lat siedem odbywa tournée po Europie, grając po wirtuozowsku na fortepianie. Cudowne dziecko dorósłszy staje się wielkim artystą, tworzącym z niebywałą łatwością i szybkością swe opery, symfonie i muzykę kameralną.

Był on niebywale płodnym kompozytorem: w ciągu swego krótkiego życia stworzył ogółem 626 utworów.

Geniusz Mozarta tkwił w jego wdzięku i w niewypowiedzianej delikatności, której prawie nikt nie dorównał; we wspaniałej równowadze wszystkich części dzieła, w jasności i czystości języka muzycznego.

Wykonana na koncercie symfonia Es-dur powstała w ciągu kilkunastu czerwcowych dni 1788 r. (po całkowitym niepowodzeniu opery „Don Juan"). Jest ona najpiękniejszą spośród jego symfonii. Rozpoczyna się patetycznym Adagio, nastrój wkrótce się jednak zmienia, przechodząc w Allegro pełne pogody i wdzięku. Z kolei Andante utrzymane w rytmie marszowym przechodzi w porywający menuet. Symfonia kończy się beztroskim pulsującym życiem Allegro (Finale).

Ludwik van Beethoven całe swe życie, całą swą duszę i wielką inteligencję poświęcił muzyce. Życie jego było smutne i nieszczęśliwe, toteż muzyka jego tłumaczy na język dźwięków jego samotność i smutki. Beethoven był człowiekiem o charakterze bardzo ponurym i trudnym do współżycia, cechy te spotęgowały się z chwilą, gdy dotknęło go chyba największe dla muzyka nieszczęście — głuchota. Mimo jednak tego kalectwa najpiękniejsze i najgłębsze jego utwory powstały właśnie w okresie już głuchoty.

Do najpiękniejszych jego utworów (poza symfoniami) należy koncert fortepianowy G-dur. Powstał on w r. 1806, a publicznie został wykonany przez samego kompozytora (partia fortepianowa) na koncercie w Wiedniu w r. 1808.

Solistą koncertu był znany pianista Jan Ekier. Bardzo dobra interpretacja, pełna powściągliwości, choć nie pozbawiona liryzmu, świadczy, że twórczość Bethovena jest Ekierowi bardzo bliska, bez wątpienia dużo bliższa niż twórczość Chopina.

Jan Brahms, współczesny Wagnerowi, Lisztowi i Schumannowi, był szczególnie protegowany i otaczany opieką przez tego ostatniego, traktowany przezeń jako odkrywca nowych prądów w muzyce europejskiej przeciwnych prądom propagowanym i realizowanym przez Ryszarda Wagnera. Muzyka Brahmsa oparta na wzorach klasycznych jest jednak bardzo oryginalna i posiada swój własny brahmsowski charakter.

Wykonana na koncercie Uwertura Akademicka, powstała jako wyraz wdzięczności dla Uniwersytetu Wrocławskiego za przyznanie kompozytorowi honorowego tytułu doktora filozofii. Cechuje ją ogrom na pomysłowość w zużyciu melodii studenckich a przede wszystkim najbardziej znanej pieśni studenckiej „Gaudeamus".

Orkiestra pod dyrekcją jednego z naszych najlepszych dyrygentów Witolda Rowickiego brzmiała bez porównania dużo lepiej niż w poprzednich koncertach.

Nina BOROWICZ

Dziecięco prostej strofy śpiew

TOM pt. „Lewy Brzeg" wydany przez „Czytelnika" w r. 1951 reprezentuje cały dotychczasowy dorobek poetycki Franciszka Fenikowskiego, znanego nam z szeregu reportaży. Wiersze w tym tomiku zawarte powstały między rokiem 1944 (tylko jeden) a 1950, a więc w latach przebudowy powojennej, co ułatwia prześledzenie ewolucji ideologicznej poety.

Celem poezji Fenikowskiego (jak go sam określa) — „zakląć losy swego pokolenia w radosnej i dziecięco prostej strofy śpiew" (wiersz „Lewy brzeg" 1947). Zaklinanie losów pokolenia — to może zbyt górne żądanie dla młodego adepta poezji, ale radość i dziecięca prostota cechują rzeczywiście jego wiersze zwłaszcza te oparte na tematyce wiejskiej. Pośród pól, traktów wiosną rozgrzęzłych i grusz Maćkowych czuje się poeta jak u siebie w domu.

Pejzaż naiwny: oracz i skowronek,
i chmara wróbli nad gruszą Maćkową...
Jak z tych w pośpiechu rozsypanych czcionek
złożyć jedyne właściwe tu słowo?

Nawet najbardziej ograne motywy nabierają tu wdzięku i świeżości. Fenikowski swój rodowód poetycki wywodzi z ziemi:

Jeśli gdy życia nurt przepłynę,
ktoś nad mym ślęczac rodowodem
zapyta: czyim jestem synem,
skąd ród mój poetycki wiodę,
niech ziemi słucha...

albo:

Ja śmierć zwyciężam człowiek-ziarno
i trwam przez wieki ziemią moją.

Poeta „ziemi prozaicznej" zamyka jej urok w naiwnym, ale bardzo melodyjnym wierszu:

I nic tu więcej prócz dali niebieskiej,
Do której modli się pokorna łoza
Cały krajobraz — proste cztery kreski,
ale nie streścić go zdawkowym: proza.

Sielankowość jego „wiejskich" wierszych — świadoma, w „Nowych żeńcach" nawiązuje tematycznie do Szymonowicza. Ścisłe powiązanie poezji z ziemią, ze swojską przyrodą przebija z wielu jego innych wierszy jak: „Rytm wiślany", „Elektryfikacja", „Głos ogrodnika na wieczorze autorskim".

Druga domena poezji Fenikowskiego — to tematyka muzyczna reprezentowana przez wiersze: „Chopin", „Preludium deszczowe", „Nokturn", „Fuga J. S. Bacha", „Harnasie" — cechuje je nastrojowość często w stylu skamandryckim, jak np. w „Preludium deszczowym" (1948):

Deszcz skarży się sostenuto,
latarnia mruga wśród mgły,
każdy twój krok jest nutą,
preludium deszczu to ty!

Wprawdzie poeta stara się w dalszych strofach tego samego wiersza zwalczyć nastrojowość:

Nie wolno poeto pod oknem stać dalej
skoro mostem powódź drapieżnie zatrzęsła.

słowami:

A ten, co w dźwięk zmieniał chmurę
i bicie deszczu, które szyby tną —
tym akordem padł — na klawiaturę
jak na cierpienia dno.

(most — akord wzięty ręką niezawisłą)

stara się przezwyciężyć „nieproduktywny" czar muzyki Chopina, określony w wierszu „Nokturn" (1947):

I tu koniec. Już słowem melodii nie zwichrzę
w zakrzepłe szopenowskie uwięzionej nuty.
Z pajęczyny ich smutku na szybie rozsnutej,
nie wyrwę serca. Słyszę, jak drży coraz cichsze.

Walka ta kończy się raczej porażką. Choć poeta przejdzie na drugi brzeg, aby „heroizm ludzkiej pracy tłumaczyć na rytmy", w zakończeniu „Preludium deszczowego" powróci motyw impresyjno-nastrojowy: „Niepokojący, melancholijny, śpiewny, przedwiosenny deszcz", w który wsłuchiwać się musi pod „jej" oknem przynajmniej cień poety.

Z innych wierszy o tematyce muzycznej bije odczucie jakiejś zniewalającej, kosmicznej niemal siły muzyki (zakończenie „Harnasiów", „Fuga J. S. Bacha"), w tym ostatnim (bardzo udanym zresztą) wierszu połączona ze skamandrycką poetyką codzienności:

A żona woła: „Mój Janie!
Już zmierzcha, skończ swoje granie!
na stole stygnie wieczerza!"
Nie wie, gdzie wzniosła mnie wieża,
i czeka wśród dziatwy licznej,
aż ja — architekt kosmiczny
w wysokiej, śmiesznej peruce
z kosmosu do domu wrócę.

W niektórych wierszach wrażliwość na motywy muzyczne łączy się z wrażliwością na swojską, polską przyrodę:

Bo cóż jest Polska? Skrzypce nocą
strunami rzek połyskujące.
(„Chopin" 1948)

Ogólnie wiersze o tematyce muzycznej uważam za udaną artystycznie pozycję poety, z małymi jednak zastrzeżeniami. Pragnienie oddania wszechmocy wrażenia muzycznego prowadzi czasem do bardzo nieodpowiedzialnych metafor:

...każdą kroplę zamieniają w nutę,
aby oczy, dźwiękiem jej przekłute,
świat ujrzały od zwykłego inny
(„Preludium deszcz.")

Przełom na „angażowanie" poezji przypada u Fenikowskiego mniej więcej na rok 1947. Oczywiście przede wszystkim wieś! Ukazanie jej nowego obrazu przez porównanie z wsią dawną, w której

...z sierpami gięły się nad łanem dziewki
i batogiem wygrażał im ekonom krewki.

(Notabene rym: dziewki — krewki, trochę się poecie nie udał). Elektryfikacja wsi w swojsko-sielankowym sosie (ale w znaczeniu dodatnim) „w kajucie o ścianach z bierwion, gdzie cierpko cykają świerszcze".

Przełom pociąga za sobą rozszerzenie tematyki, wyjście poza wiejskość i muzyczność. W poezji Fenikowskiego pojawia się miasto i robotnik, zjawia się bojowy program poetycki. I tu poeta walczy z nowymi dla niego trudnościami, które nie zawsze udaje mu się przezwyciężyć. Choć w „Ziemi prozaicznej" (jednym z najlepszych swoich wierszy) mówił: „tu być banalnym poecie nie wolno" i w tematyce wiejskiej, mimo użycia ogranych motywów — nie był, w wierszach o tematyce miejskiej, która kryje w sobie przecież tyle możliwości, roi się wprost od okropnych banałów, nastrojonych na najwyższy ton. Oto ich wiązanka: „pod chmury rosną łuki mostu, łączącego epokę z epoką", „lecz my spinamy przepaści klamrami stalowych mostów", „wielkich pieców ogniska, w których rozżarzy się serce sześcioletniego planu", „przęsła mostu, który połączy brzegi nocy z świtem" itp.

Aż kusi, żeby zacytować za Tuwimem: *)

Jeżeli piękna — to bezwzględnie wiosna,
Jeżeli zielone — to trawy kobierce,
Jeżeli twórczość — to zawsze radosna,
Jeśli zajęte — to W. C. lub serce.

Bo u Fenikowskiego:

Jeżeli pocisków — to stalowe deszcze,
Jeżeli poematu — to beton,
Jeżeli trud ramion — to krzepł w stalowe przęsła,
Jeżeli sześcioletniego planu — to rozżarzone serce.

To jeszcze nie najcięższe grzechy, „wyrąbane" credo poetyckie razi bardziej:

...bo poezja to także trasa, to most prosty
z krainy naszej jawy, na brzeg naszych snów.

lub:

Bo poeta jak spawacz dziś lub budowniczy
zamienia swoje słowo w cegłę albo w mit.

Niestety, trzeba powiedzieć, że ciężko idzie Fenikowskiemu ta zamiana. Jeżeli nie — pozbawiony obróbki arstytycznej deklaracjonizm — to druga ostateczność: udziwnianie obrazu robotnika i jego pracy. Poeta każe murarzom „spływać z rusztowań, jak bogowie skrzydlatostopi". Przecież robotnik — to człowiek z krwi i kości, a jego praca, to ciężka praca c z ł o w i e k a, nie da się oddać jej (że zapożyczę się u Erenburga) za pomocą instrumentów dętych, ani też typowo inteligenckiego podejścia do robotnika jak do czarodzieja i dziecinnej baśni.

Czasami (o ironio!) zemszczą się na poecie zalety jego poezji: dążenie do prostoty przy niezrozumieniu (z winy inteligenckich obciążeń) środowiska opisywanego — przechodzi w banał, co przy melodyjności wiersza sprawia efekt (niestety!) kataryniarskiej grafomanii:

Bo w warszawskie noce i wieczory
Blednie Orion, Mars i Wielki Wóz,
nowe za to wschody, gwiazdozbiory
nad ruiny, nad popiół i gruz.

Mimo tych licznych i dość poważnych zarzutów, poezja Fenikowskiego wnosi tak wiele nowego i oryginalnego, że ogólna jej ocena powinna wypaść stanowczo dodatnio.

Nina Borowicz

*) Por. Julian Tuwim: „Pegaz dęba".

Zwracam się z prośbą do wszystkich, którzy posiadają listy, notatki lub inne przekazy pisemne Stanisława Ignacego Witkiewicza o skomunikowanie się ze mną drogą korespondencyjną. Dokumenty są mi potrzebne do monograficznego opracowania twórczości Witkacego.

Stanisław K. Stopczyk
W-wa, Al. Jerozolimskie 81 m. 12

WIECZORY POD LIPĄ

MADE IN U.S.A.

LITERATURA tzw. drugorzędna operuje zazwyczaj schematami problemów, charakterów i sytuacji. Obniża to oczywiście jej wartość artystyczną, ale na ogół ułatwia kontakt z szerszymi rzeszami odbiorców. Zagadnienie, które na wyższym szczeblu opracowania intelektualnego i artystycznego na różny sposób zindywidualizowano, komplikowano, pogłębiano, występują w niej jako jednoznaczne, uproszczone do najbardziej hasłowej formy slogany. Dlatego też dla poznania bagażu umysłowego poszczególnych okresów i społeczeństw literatura ta ma znaczenie pierwszorzędne. Odbija ona bowiem w sobie życie umysłowe i duchowe nie elity przetwarzającej często w sposób bardzo indywidualny zagadnienia współczesnej rzeczywistości, ale właśnie szerokiego ogółu czytelniczego, na którego potrzeby i zainteresowania orientuje się pisarz minorum gentium. Pisarz tego rodzaju, zarobkujący piórem pisarz z profesji, musi jak najdokładniej wykonać „zamówienie społeczne" środowiska, dla którego tworzy, bo chce mieć zapewnioną popularność, a więc pozycję socjalną i dochody.

Poznać pisarza popularnego w jakimś środowisku, to poznać krąg zainteresowań i poziom życia umysłowego tego środowiska. Z tego właśnie względu pozwolę sobie zaprzątnąć uwagę czytelników powieściami jednego z amerykańskich dostawców popularnej literatury przygodowej — Maxa Branda.

Max Brand wyspecjalizował się w przeciwstawianiu dziejów „szlachetnych wykolejeńców", którzy z takich czy innych względów poróżniwszy się ze społeczeństwem po mniej lub więcej groźnych tarapatach powracają na drogę cnoty, za co specyficznie amerykańska opatrzność rodem z Hollywood wynagradza ich ręką posażnej panny i przyjaźnią gubernatora Stanu. Schemat tych powieści przywodzi na myśl po trochu Walter Scota, po trochu Londona czy Bret-Hartea, ale ich poziom literacki jest bez porównania niższy.

Osobliwą pozycję w dorobku Branda stanowi „Nocny jeździec", powieść zdecydowanie słaba, ale poruszająca ciekawe zagadnienie. Bohater „Nocnego jeźdźca" — Dan Barry — jest poróżniony ze społeczeństwem tak zasadniczo, że w tym wypadku nawet protekcja samego Mac Arthura na nic by się nie przydała. Dan Barry bowiem to swego rodzaju potwór: ofiara atawizmu, pierwotny człowiek natury, któremu łatwiej współżyć z przyrodą i zwierzętami niż z ludźmi. Uczłowieczony żywioł, naturalność odruchów, a intelektualizm i amoralizm w klinicznej wręcz postaci — oto Dan Barry.

Figura pomyślana naprawdę ciekawie, ale wykorzystana w sposób mocno niepokojący. Nie będziemy się oczywiście prawować z Brandem o to, czy ma on rację kojarząc w swoim bohaterze herkulesową siłę z dziewczęcą niemal urodą. Nie będziemy demaskować l i t e r a c k o ś c i w rysunku zarówno postaci bohatera jak i jego losów, gdyż te rzeczy mają dla nas w tej chwili znaczenie zgoła podrzędne. Interesuje nas raczej stosunek autora do tej postaci.

Oto jak ustawia ją Brand wśród innych figur powieści: Dan Barry wywiera na wszystkich, z którymi się zetknie, niesamowite wręcz wrażenie. Niepokoi, drażni nieuchwytną zagadkowością, a jednocześnie pociąga. Nikt nie może go dłuższy czas nienawidzieć, wszyscy ulegają jego niepojętemu urokowi. I to nie tylko farmerzy i cow boye z Dzikiego Zachodu. Również doktór Randu Byrne, młody intelektualista, dochodzi po spotkaniu z Danem do wniosku, że wiódł niedorzeczne zupełnie życie, poświęcając się wyłącznie nauce i nie dbając o sprawy tego świata. „Myśleć to przesiewać plewy" twierdzi odrodzony Mr. Byrne, który chce teraz zająć się studiowaniem „żywego człowieka", a jako studia wstępne do tej nowej dziedziny wiedzy wymienia umiejętności: 1) boksu, 2) brania się do dziewcząt, 3) picia starego wina.

Tak poczyna sobie Mr. Byrne. Mr. Barry natomiast, który zaczął się już cokolwiek oswajać z normalnym ludzkim życiem, posłuszawszy krzyk dzikich gęsi, porywa swoją ukochaną Kate od łoża umierającego ojca i pędzi z nią konno w prerie. Ojciec Kale umiera przebaczając Danowi, którego kochał bodaj więcej niż rodzoną córkę. Słowem, happy end, stary Cumberland umiera szczęśliwy, dr Byrne wyjeżdża odrodzony i odmłodzony, gęsi krzyczą, „księżyc świeci, jeździec leci po zaroślach i po krzach..."

„Panno, panno, czy nie strach?" Czy nie strach? Bo z tego co pisze o Danie Barrym Brand, wynika, że niesamowity jeździec jest nie tyle „dzieciątkiem natury", bosko bezmyślnym i bosko niewinnym, ile raczej niebezpiecznym zbrodniczym obłąkańcem, którego dr. Byrne, gdyby był rzeczywiście sumiennym i inteligentnym lekarzem, powinien umieścić w zakładzie dla umysłowo chorych. Barry nie myśli, kieruje się tylko odruchami emocji i instynktem. Byrne sam określa go raczej jako zwierze niż człowieka. Skąd więc aureola bohaterstwa i niezwykłości na skroniach tej człeko-zwierzęcej hybrydy?

Dan Barry — to według autora — symbol natury, symbol wolności. Lęk przejmuje gdy zastanowimy się nad ideologicznymi konsekwencjami powieści Branda. Wielokrotny morderca, bezmyślny dzikus, który umie tylko poskramiać zwierzęta i z fenomalną zręcznością posługiwać się pistoletem — staje się romantycznym bohaterem, czymś w rodzaju amerykańskiego Robin Hooda.

Robilibyśmy zbyt wielki zaszczyt Brandowi dopatrując się w tej powieściowej apoteozie ludzkiej bestii jakiegoś, choćby bardzo odległego wpływu idei Jana Jakuba Rousseau czy też Fryderyka Nietschego. O intelektualnych rezerwach autora mówi wystarczająco wyznanie „nawróconego" na amerykańską „religię natury" dr Byrne, który doszedł do wniosku, że „myśleć to przesiewać plewy". Warstwę ideologiczną książki Branda stanowi bunt najbardziej prymitywnego i brutalnego chamstwa przeciw kulturze i rozumowi.

Znużenie kulturą, znużenie moralnością dyktowało tę książkę, książkę obliczoną przecież na masowego odbiorcę, a więc przystosowaną do potrzeb i gustów amerykańskiej publiczności. Nie łudźmy się — ta wizja kultury (czy raczej: antykultury) amerykańskiej, jaką wyczytujemy z Branda, lepiej odpowiada dzisiejszej mentalności amerykańskiej niż tradycje Poego, Lingfellowa, Emersona, na które chcielibyśmy się w tej chwili powoływać, by odpędzić widmo Dana Barry.

A zważmy jeszcze jedno: „żywiołowy" Dan Barry nie odziewa się w skóry zwierząt, nie jeździ na koniu na oklep, nie używa jako broni pałki ani kamiennego topora. Odziany jest zupełnie przyzwoicie, konia ma osiodłanego, umie się dobrze posługiwać bronią palną. Załatwia widocznie jakoś interesy handlowe, a także przy odrobinie dobrej woli potrafi zachować się w towarzystwie całkiem comme il faut. Sprytne dziecię natury, myślimy z podziwem i zazdrością. Jeżeli wygarnąć do kogoś z pistoletu — to żywiołowo, odruchowo, tak jak wiatr wieje, tak jak piorun uderza. A jeżeli na stole znajdzie się wieprzowina, musztarda, nóż i widelec — to Dan Barry normalnie je i nawet nie szarpie mięsiwa pazurami.

Niby głupstwo a przecież... Okazuje się, że Brandowski bunt przeciw współczesności wyczerpuje się na buncie przeciw wartościom kulturalnym i moralnym, nie dotyczy jednak zdobyczy cywilizacyjnych tejże współczesności. Dan Barry nie może pojąć, że jest coś złego w zabiciu człowieka, który mu się nie podoba lub w porwaniu dziewczyny, która mu się podoba. No bo przecież cóż ta „załgana", „księża" moralność ma wspólnego z naturą, według praw której powinien żyć zdrowy, normalny amerykański dżentelman (cowboy)?

Nie natura jest w powieści Branda celem, ideałem, do którego się dąży. Celem jest „wyzwolenie się" od kultury i moralności, od władzy rozumu i od rygorów stwarzanych przez opanowujący chaotyczność ślepej żywiołowości umysł człowieka. Apoteoza Dana Barry to — w ostatecznych konsekwencjach — apoteoza wtórnego barbarzyństwa.

Dobra to i pouczająca książka ten „Nocny jeździec". Taka „zdrowa", taka „mocna", taka naprawdę made in U.S.A.

Ale czy naprawdę zupełnie nowa dla Europejczyka? Przecież i w tej części świata zyskał sobie pewien rozgłos poniektóry „intelektualista" na miarę dr Randella Byrne („myśleć to przesiewać plewy"), który usłyszawszy słowo „kultura" odbezpieczał natychmiast pistolet. Dziś duchowni bracia obu tych „intelektualistów" zabierają się do.... „bronienia kultury". Dziwy, dziwy...

Bogumił Kolec

Andrzej ODNOWA

„Intryga i miłość" w Teatrze Polskim

ARCYDZIEŁO Fr. Schillera „Intrygę i miłość" z r. 1784 zrodziło niejako samo życie. Pomysł podsunęła współczesna notatka dziennikarska, notatka o śmierci przez otrucie córki muzykanta i syna dostojnika. Postacie, które wypełniły poza tym utwór, stanowiły aluzje do otoczenia młodego Schillera. Książę to jego dręczyciel, „stary Herod" wirtemberski, ks. Karol Eugeniusz, handlarz swoich poddanych. Prezydent to rzeczywisty dostojnik, który usunął swego poprzednika i oszustwem utorował sobie drogę do władzy. Marszałek dworu Von Kalb otrzymał nawet nazwisko prawdziwej osoby, niegodnego męża ukochanej poety, Charlotty. Również obmierzły Wurm miał swój prototyp w stutgarckim dworaku, a bodajże podobnie i metresa Księcia.

Trzeba było, by poeta przeniknął kulisy dworów, zaznał koszarowej tresury „Karlsschule" i odczuł na samym sobie łapę despozytyzmu; by zakazano mu pisania i wystawiania jego utworów oraz zamknięto go na wiele dni w areszcie — aby tam właśnie i w czasie ucieczki do sąsiedniego księstwa mogło powstać to dzieło, dziś już klasyczne, którego tętniąca życiem aktualność porusza jeszcze i nas po prawie dwustu latach. Dziwne są drogi, na jakich pisarz na wskroś aktualny — rewolucyjne Zgromadzenie Narodowe w Paryżu przyznało Schillerowi w r. 1792 honorowe obywatelstwo Republiki — zmienia się w klasyka.

Osobiste przeżycia autora i uraza mieszczanina w stusunku do uprzywilejowanej warstwy zrodziły o rok wcześniej „Wesele Figara" Beaumarchais, i dzieło to zestawia się niekiedy z „Intrygą i miłością". Zestawia dość powierzchownie i niesłusznie.



Scena ze sztuki „Intryga i miłość" Od lewej: von Kalb, marszałek dworu — Aleksander Żabczyński i prezydent — Gustaw Buszyński.

Zawistny karierowicz, mieszczanin Beaumarchais, choć podważał swą komedią świat „ancien regime'u", należał przecież do niego duchem. Nawet pozytywni jego bohaterzy zdeparowani są przez oddziaływanie moralności schyłkowej warstwy. Osobista ewolucja samego Beaumarchais, który skończył jako de Beaumarchais i zwolennik reakcji, jest również symptomatyczna. Jakże inaczej Schiller i jego postacie. Bunt społeczny, przejawiający się u niego, jak w ogóle w literaturze okresu „burzy i naporu", łączył się tu z głębokim przeobrażeniem treści myślowych i etycznych. Z jakąż godnością moralną i dumą przeciwstawiają się ludzie świata mieszczańskiego, Miller czy jego córka, feudalnemu światu ucisku i służalstwa, zawiści i wyuzdania. „Ileż każe sobie zapłacić za to, że będzie raz człowiekiem?" — zapytuje Luiza pod adresem Księcia. Ile goryczy i ironii jest w słowach Kamerdynera o nieludzkim traktowaniu ludu. Ferdynand, młody baron będący pod wpływem nowej literatury, rzuca przed faworytą książęcą płomienne oskarżenie o ucisk w kraju, lecz przed ojcem swym, podporą absolutyzmu, objawi ponadto nowy romantyczny świat serca.

Zapewne, schillerowski świat religii piękna, przyrody, uczucia nie jest światem prawdziwie chrześcijańskim. Schiller autonomizuje element ludzki, wyolbrzymia za Rousseau'em rolę sił irracjonalnych, ściąga niejaki kosmos i samego Boga w służbę człowieka.

Mimo wszystko, ileż bliższą jest jednak aurze religijnej ta preromantyka od suchego racjonalizmu oświecenia, ile w niej przecież religijnej tęsknoty.

Choć ponosi poetę egzaltacja romantyczna, choć przecenia stworzenie kosztem Stwórcy, stale zmierza jednak Schiller na powrót do właściwych etycznych proporcji ludzkiego bytu. Nakłaniającemu do ucieczki Ferdynandowi odpowiada Luiza: Czy nie masz innego obowiązku poza miłością? Przypominają się natchnione przez Schillera prawdy chóru z refrenów II części mickiewiczowskich „Dziadów", osadzające w ramach etycznych i społecznych przerosty jednostkowego uczucia.

A przy tym to jedyne w swej śmiałości na owe czasy połączenie protestu społecznego z apoteozą nowego stylu życia uczciwego ujęte zostało w genialny kształt artystyczny. Pionierski realizm w przedstawieniu dwóch sfer społecznych, język wielostronnie zróżnicowany, wreszcie sceniczność i dramatyzm o głębokim oddechu — wszystkie te wartości jakże wdzięcznym czynią zadanie odtwórców niemieckiego arcydzieła, choć wymagają też od nich nie lada wysiłku.

Ciekawe możliwości porównawcze stworzyła dla części widzów niedawna wizyta Teatru Drezdeńskiego z Lessinga „Emilią Galotti", sztuką wcześniejszą od „Intrygi", jedynie o 12 lat. Stwierdźmy od razu, że porównanie nie wypada na niekorzyść przedstawienia polskiego. Reżyser „Emilii Galotti", Martin Hellberg, stylizował jakby dramat Lessinga na teatralny styl XVIII wieku, ujmował go w duchu jaskrawych kontrastów dramatycznych, patosu, koturnowości. W ten sposób przedstawienie niemieckie jakby świadomie wykraczało poza czy ponad realistyczny obraz świata. Reżyserowi polskiemu, **Aleksandrowi Bardiniemu** udało się, przeciwnie, w wysokim stopniu uzyskać równowagę ujęcia realistycznego. Szczególnie postacie starszych osób sztuki: Prezydent, Wurma, Miller, Kamerdyner zabrzmiały dużą sumą ludzkiej prawdy.

We wspaniałej masce i mimice twarzy **Gustawa Buszyńskiego** dostrzegało się rzeczywiście człowieka epoki wolteriańskiej, dostojnika oświeconego absolutyzmu. Dzięki wytwornej grze ominął znakomity artysta szczęśliwie rafy melodramatyzmu czyhające w niektórych partiach roli Prezydenta. **Alfred Łodziński** oparł swą świetną grę na dyskrecji i powściągliwości. Było coś śliskiego w milkliwości, przyczajeniu się mrocznej postaci jego Wurma. Z postaci muzykanta Millera wydobył **Janusz Warnecki** całą naturalność i godne podziwu bogactwo odcieni od czysto charakterystycznych, prawie komediowych, do przejmująco dramatycznych. Epizod z opowieścią Kamerdynera książęcego o wyjeździe poddanych, sprzedanych jako mięso armatnie, jest w interpretacji **Józefa Maliszewskiego** sceną o dużym ładunku emocjonalnym i silnej wymowie społecznej. **Janina Macherska** dobrze odtworzyła charakterystyczną postać śmiesznej, snobistycznej mieszczanki Millerowej.

Role dwojga kochanków, Luizy i Ferdynanda, mogą **Ewa Krasnodębska i Mieczysław Milecki** uznać za swoje duże osiągnięcie. Młoda aktorka wrocławska zadebiutowała na czołowej scenie stołecznej rolę pełną świeżości i przeżycia chociaż może przede wszystkim w głośnej scenie pisania listu brak było jeszcze bogatszego zróżnicowania odcieni. Rolę Ferdynanda grał kiedyś B. Leszczyński, galopując po niej, jak pisał ówczesny recenzent, „jak wóz rozpędzony po drodze". Coś z tego rozpędu, może wcale nie tak bardzo niesłusznego, miał w swym ujęciu roli Milecki, przydając ponadto Ferdynandowi umyślne nieskoordynowanie ruchów i urywany, zdyszany głos. Był nie tylko „romansową głową", ale przy całej swej młodzieńczej burzliwości (prawdziwie w stylu „Sturm und Drang") miał też cechy hamletyczno-werterowskiego niezdecydowania.

Z płaszczyzny realizmu, jaki cechował całość przedstawienia „Intrygi" w Teatrze Polskim, ześlizgiwały się częściowo role Lady Milford i Marszałka Von Kalba. **Nina Andrycz** (która miała w swej roli poprzedniczkę w Gabrieli Zapolskiej) ukazała w dumnej kurtyzanie i wygnance gorącą kobiecą namiętność i szlachetny rys wielkości. Ale pozostawiając w tej trudnej roli mimo wszystko osad deklamacyjności, nie zdołała uczynić Lady w pełni ludzką. **Aleksander Żabczyński**, pragnąc dać nowe ujęcie roli dworaka, stworzył postać infantylną i zniewieściałą aż do groteski, nie pozbawiając jej zresztą swoistego komicznego wdzięku. Ładna pokojówka Lady Milford **(H. Michalska)** — czy trochę nie zanadto współczesna?

W bardzo dobrych dekoracjach **Jana Kosińskiego** szaro-brązowe tony wnętrza mieszkania Millerów (z motywem schodków jak na ilustracji Chodowieckiego z „Intrygi") wymieniały się z czerwienią apartamentu Prezydenta (interesujący piec jako przykład ówczesnej artystycznej ceramiki niemieckiej) oraz żółtą tonacją rokokowych salonów Lady Milford. Kostiumy **Zofii Węgierskiej** piękne, choć krój munduru Ferdynanda potęgował jeszcze wrażenie jego niedopasowania do życia, a czerwień płaszcza opuszczającej dwór Lady Milford wydawała się symboliczna (i tylko trudno było odgadnąć intencję symboliki). W wawartościowym programie do „Intrygi" wypada sprostować dwa błędy Powstanie „Intrygi i miłości" przypada raczej — i dokładniej — na okres po wojnie siedmioletniej (1756-1763) aniżeli na okres po wojnie trzydziestoletniej, która toczyła się w w. XVII (1618-1648). A dalej, w jaki sposób mogła trupa niemiecka grać w roku 1794 w Warszawie „Marię Stuart" Schillera, jeśli dramat ten napisany został dopiero w r. 1800?

Piękne przedstawienie schillerowskie każe zwrócić uwagę na linię repertuarową Teatru Polskiego. Wydaje się, że jeśli po interesującej współczesnej polskiej „próbie sił" oglądaliśmy tak ciekawe przedstawienia klasyka rosyjskiego Gribojedowa i klasyka niemieckiego Schillera, a czeka nas wkrótce prapremiera scenicznej adaptacji „Lalki" Prusa, linię tę uznać wypada za szczęśliwą.

Andrzej Odnowa

Marek Antoni WASILEWSKI

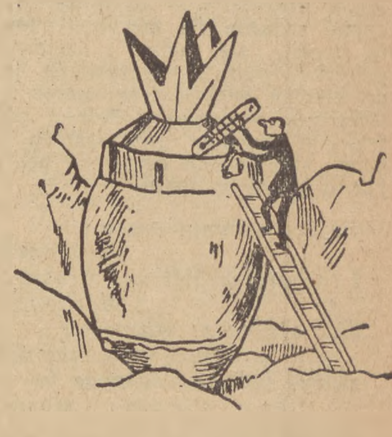
Wieczni Młodzieńcy

Bardzo często, w różnych pismach
Widzę piękne fotografie:
Więc śpiewaczki, co wciąż bis ma,
Albo na aktora trafię,
Lub słynnego literata
Co dosłużył się nagrody...
A gdzież jest pod zdjęciem data?
Bo kto na nim, ten już młody.
Nigdy nie ma dat pod zdjęciem,
Z czego taki płynie skutek,
Że człowiekiem zazdrość trzęsie,
Zawiść zbiera w nim i smutek.
Bo kto twarz powierzy Leice,
Zrobi zeza do Kodaka,
Ten natychmiast, niby w bajce
Z męża zmienia się w chłopaka.
Jakże poznasz teraz Brzozę,
Brzechwę, albo Panufnika?
Cóż ci zdjęcie w tym pomoże,
Jeśli... weźmy jako przykład:
Jakiś efeb. Butna mina.
Patrzysz. Oczy chcesz przecierać.
Ma to kpina być z Erwina? —
Infantylny „biust" Axera.
Dalej młodzik jakiś złoty.
Dać mu lat dwadzieścia możesz.
A to... Brzechwy dagerotyp,
Wreszcie wam na stół położę
Jakieś bujnowłose chłopię.
Spróbuj poznać tu z oblicza,
Że te włosy jak konopie
Grzywą są... Iwaszkiewicza.
Kultywując taki system
(Wedle wzoru czarnej maski)
Będzie całkiem oczywiste,
Gdy pojawią się obrazki:
Bobas trzyma w buzi nogę
I radośnie się uśmiecha.
...Julian Tuwim. Nie! Nie mogę!
Lecz jest myszka. (Jego cecha).
Dalej, z między dwóch pieluszek
Wyszła jakaś piąstka dziarska,
Fragment pięty i pępuszek.
Któżby, jakby nie... Szaflarska.
Wreszcie Brandys. Ach! Uroczy!
Tylko mu coś sterczy z twarzy.
Nic. Drobnostka. Zwykły smoczek,
Którym jakaś dłoń go darzy.
Jak wygląda kto w istocie
Tego nie wiesz, czytelniku,
Chociaż zdjęć oglądasz krocie,
Chociaż fotek masz bez liku.
W związku z tym petycję wnoszę
Świadom swego przedsięwzięcia,
Wołam śmiało pełnym głosem:
DAWAĆ A K T U A L N E ZDJĘCIA!

O wszystkim po trochu

ANGIELSKIE PAMIĄTKI WE FRANCJI

W czerwcu b. r. odkryto w St. Nazaire niewybuchłą jeszcze, olbrzymią bombę angielską. Cała trudność rozbrojenia jej polegała na tym, że wyposażona była w specjalny termometr rtęciowy, który działał na rodzaj małej rakiety. Wystarczyło, jak to się zdarzyło w zeszłym roku w Caen — poruszyć bombe o parę centymetrów, albo tylko próbować odkręcić którąś z



części, a poziom rtęci się zmieniał i olbrzymia bomba mogła zniszczyć poważną część miasta.

Ewakuowano jedną trzecią St. Nazaire i zapytano Brytyjskie Ministerstwo Wojny o dokładne dane mechanizmu całej bomby. Ministerstwo odmówiło.

Jak widać z tego, Brytyjskie Ministerstwo Wojny ceni sobie wątpliwą zresztą tajemnicę wojskową bardziej niż życie kilkuset Francuzów.

MUZYKALNE KROWY

Knud Eilersen, chłop z Falser (Dania), zainstalował w ub. roku w swej oborze radio, aby dojenie i odżywianie krów odbywało się przy muzyce.

Obecnie twierdzi on, że dzięki temu jego krowy dostarczyły mleka na 266 kg masła w ciągu roku, podczas gdy dotychczasowa ich wydajność wynosiła 155 kg.



Ciekawe dlaczego u nas nie wykorzystano tego pomysłu w gospodarstwach rolnych. Można by później wykazać, że np. Liszt wpływa o 54% bardziej mlekodajnie od Czajkowskiego, a najbardziej „mlecznym" utworem jest, powiedzmy, Polonez As-dur Chopina, który o dwa i pół litra wyprzedza „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem". Eilersen powinien wówczas zostać co najmniej honorowym członkiem Związku Muzyków Polskich.

GEOGRAFIA MADE IN USA

Układ amerykańsko-japoński, podpisany po zawarciu traktatu w San Francisco, zawiera pewną ilość tajnych klauzul, na mocy których milion oby-



wateli japońskich będzie wysłany na Alaskę, ażeby wziąć udział w „obronie cywilizacji zachodniej".

Jeszcze parę lat temu byśmy się tej geografii dziwili...

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr 1-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 2396/A. 2-B-44156